Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 6 (1638) 11–17 lutego 2022

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ostatnio piszę po kilka zdań, żeby dać Czytelnikom znak, że jeszcze żyję. To nie ma sensu…

NIE

Szatan z Watykanu str. 12

Sierp i płot str. 14

SĘDZIOWIE TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125 06
9 770867 223201

@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl bdf9a50777

TYDZIEŃ Z GŁOWY

❱ Duda, który od siedmiu lat sprawuje w Polsce funkcję prezydenta, nie schodzi ze światowej sceny. Zaledwie zdążył wrócić z Pekinu, gdzie zagadnął sekretarza generalnego ONZ Antónia Guterresa i gdzie przyjął go Xi Jinping, sekretarz generalny Komunistycznej Partii Chin i przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej, a już – po zmianie koszuli – musiał lecieć do Brukseli na spotkanie z liderami Unii Europejskiej. A potem od razu do Berlina, gdzie w tzw. formacie weimarskim zwołał spotkanie kanclerz Niemiec Olaf Scholz. W spotkaniu uczestniczył również prezydent Francji Emmanuel Macron. Na zalatanego Dudę aż miło patrzeć, jak kwitnie. Jego kumple ze Zjednoczonej Prawicy, tacy jak Kaczyński czy Ziobro, przeciwnie – wciąż gniją w polskiej chacie z kraja.

❱ Ci przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, którzy nie grzeszą delikatnością, przypominają Dudzie, iż społeczny awans międzynarodowy zawdzięcza temu, że zawetował „lex TVN". I dodają, że od ponad roku na rekoncesję czeka stacja TVN 7, a termin mija już za 2 tygodnie, niech więc Duda się pospieszy i pogoni tych członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, którzy ociągają się z przedłużeniem koncesji.

❱ Między lotami Duda zaprosił liderów ugrupowań parlamentarnych, żeby pochwalili go za to, że wymyślił projekt zmian w Sądzie Najwyższym. Zmiany są mniej niż kosmetyczne (nie likwidacja Izby Dyscyplinarnej, tylko jej face lifting), zatem opozycja Dudę generalnie wyśmiała, chociaż przedstawiciele PSL i Polski 2050 wyrazili zmianami ostrożne zainteresowanie.

❱ Zgodnie z zapowiedzią prezesa Polski, który wyraził niezadowolenie ze sposobu wprowadzenia Polskiego Ładu, na zielonej trawce wylądował Kościński, minister finansów. Jego obowiązki ma sprawować naczelny winowajca PŁ – Morawiecki, który w Polsce jest premierem. Do Ministerstwa Finansów wysłany został Soboń – najpierw, żeby poprawić PŁ, a potem żeby ewentualnie zostać następcą Kościńskiego. Inni kandydaci na kandydata na ministra finansów: Uścińska, obecna prezeska Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, oraz stary skład desek – Kowalczyk lub Sasin.

❱ Cierpliwość Kaczyńskiego wyczerpała się także wobec senatora Jana Marii Jackowskiego. Można się spodziewać, że zostanie on wypierdolony z pisowskiego klubu parlamentarnego, ponieważ sieje zgorszenie, ośmielając się mieć inne zdanie niż to, które na kolanach wyznają pokorni słudzy partii rządzącej.

❱ Niedzielski, minister zdrowia, który też miał wylecieć, bo śmiał okazywać niezadowolenie nieuchwaleniem ustawy covidowej i niewywaleniem z posady małopolskiej kuratorki oświaty nazwiskiem Nowak, ogłosił koniec piątej fali pandemii koronawirusa. Są eksperci, którzy uważają ogłoszenie Niedzielskiego za przedwczesne, ale nawet jeśli tak jest, to co mu kto może zrobić?

❱ Zdominowany przez pisowców sejm przegłosował kandydaturę prokuratora krajowego Święczkowskiego na sędziego trybunału Przyłębskiej. Ze Święczkowskim, z powodu wzrostu i tuszy zwanym Godzillą, wiąże się dowcip powtarzany przez prokuratorów: – Ile waży menda? – W Polsce nawet 150 kilo! (więcej o Święczkowskim czytaj na str. 3).

❱ Nadal nic się nie dzieje z powołaniem sejmowej komisji śledczej w sprawie Pegasusa. Kukiz robi z siebie pajaca, chcąc zrobić w trąbę przedstawicieli opozycji, którzy siedzą cicho jak myszy pod miotłą, żeby nie urazić Kukiza, a wszystkiemu przygląda się Terlecki i zaciera swoje brudne łapki.

❱ Bielan, który należał to tylu partii, że zazdroszczą mu najbardziej skurwione dziwki (Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe, Przymierze Prawicy, Prawo i Sprawiedliwość, Polska Jest Najważniejsza, Polska Razem, Porozumienie, a od niedawna Partia Republikańska), publicznie powiedział, że Polska powinna zrezygnować z 770 mld zł z Europejskiego Funduszu Odbudowy. Podobnego zdania jest Ziobro i wszystkie jego chłopaki z Ministerstwa Sprawiedliwości. Takim jak oni powinno się powiedzieć, że jeśli chcą, niech rezygnują albo – i to jest najlepsze wyjście – niech spierdalają!

❱ Rada Polityki Pieniężnej podniosła stopy procentowe żo 0,5 proc. Bankowa stopa referencyjna wynosi teraz 2,75 proc. Postępujący od listopada zeszłego roku wzrost stóp ma osiągnąć 2 sprzeczne cele: zmniejszyć inflację i nie wkurwić ludzi wyższym oprocentowaniem kredytów.

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

101. TYDZIEŃ PANDEMII

Koniec piątej fali!
Zanim nadejdzie szósta, musi umrzeć 10 tysięcy zakażonych.

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Drodzy Czytelnicy „NIE"

Od siedemdziesięciu lat piszę felietony. Wiązałem z tym pewne ambicje. Przez ostatnie tygodnie zmarniały one i

piszę coś tylko po to, żeby pokazać, że żyję.

Od kilku tygodni mam ropień w płucach powodujący zapalenie płuc. Wziąłem dwie silne kuracje antybiotykowe. W tym czasie pisałem, żeby dać Czytelnikom znak, że jeszcze żyję. To nie ma sensu…

Wrócę do pisania, gdy rzeczywiście będę miał coś do powiedzenia.

URBAN
sekr@redakcja.nie.com.pl

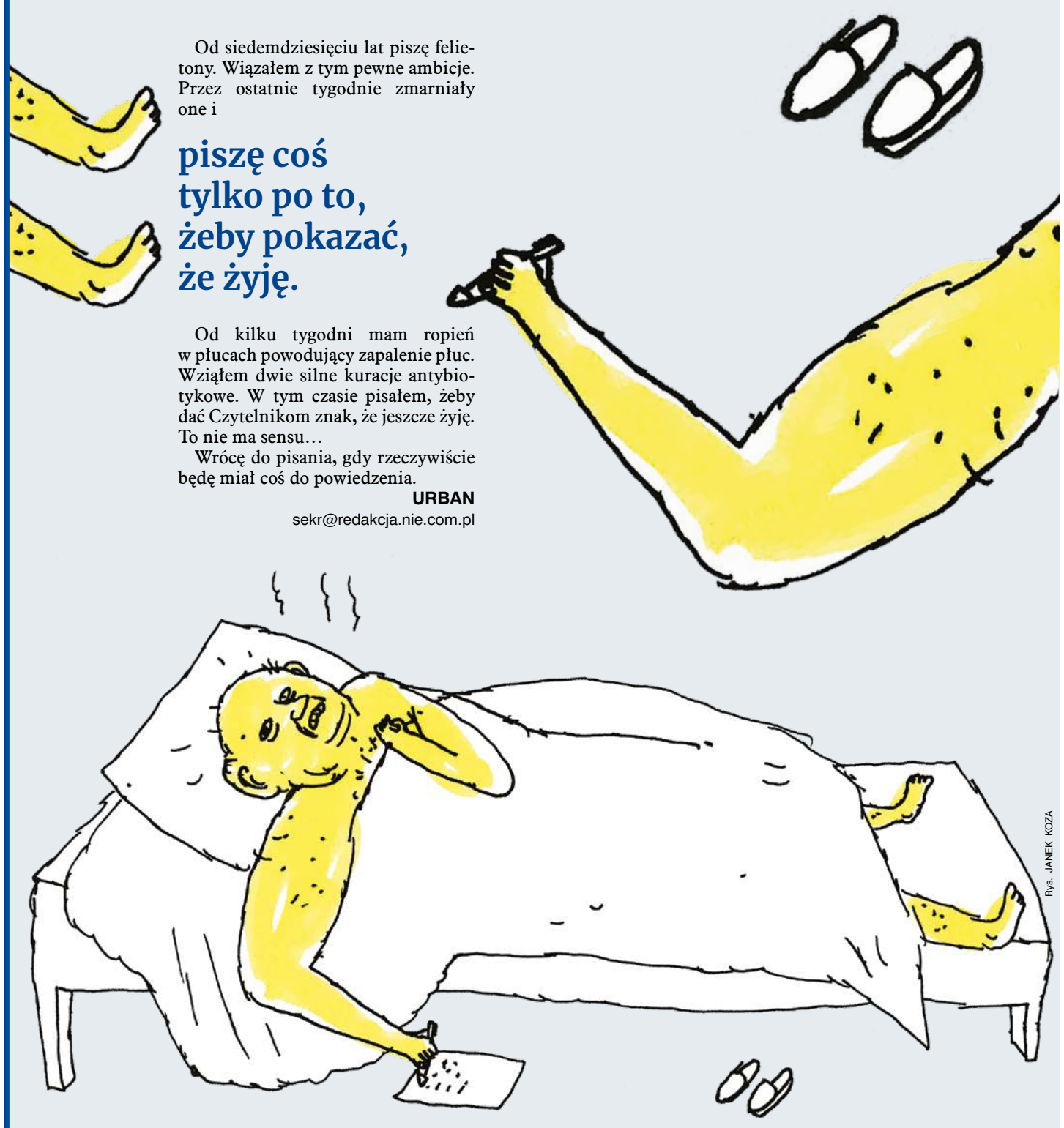

Rys. JANEK KOZA

PRASA ŚNIADANIOWA

- W Poznaniu otwarto **ewangelizacyjny zakład fryzjerski** dla ubogich. Można tam zrobić się na bóstwo.
- **Premier** powołał zespół, który szuka możliwości zarobkowania na katastrofie klimatycznej. Za rok w Zakopanem odbędzie się „Sylwester marzeń" pod palmami.
- **Krystyna Pawłowicz** opublikowała swoje zdjęcia na siłowni. Zgodnie z zasadą: najpierw masa, później rzeźba.
- W Cieszynie **sklep** obok przystanku autobusowego ogłosił się **dworcem,** aby ominąć zakaz handlu w niedzielę. Gdyby ogłosił się kościołem, mógłby nie wydawać paragonów.
- **Prof. Chazan** powiedział, że nie można zabijać chorego dziecka z powodu złego samopoczucia matki. Czy złe samopoczucie to eufemizm sepsy?
- W **Pałacu Prezydenckim** odbyły się obchody Dnia Bezpiecznego Internetu. Niby sezon narciarski w pełni, a jednak prezydent zajmuje się poważnymi sprawami.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl bdf9a50777

Kat sprawiedliwości

Bogdan Święczkowski tak się nadaje na sędziego Trybunału Konstytucyjnego jak pedofil na opiekuna dzieci.

ANDRZEJ SIKORSKI

Powołanie zaufanego człowieka Zbigniewa Ziobry na sędziego sądu konstytucyjnego jest niebywałym skandalem, przy którym nominacje Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza stają się nic nieznaczącymi epizodami.

Przedstawiając Święczkowskiego, opozycja i antypisowskie media przypominają, że w 2011 r. z sukcesem startował do Sejmu z list PiS, ale jego mandat wygaszono, bo nie chciał zrezygnować z prokuratorskiego uposażenia, a po wygranej PiS w 2015 r. został wszechwładnym szefem Prokuratury Krajowej. Wypomina mu się upolitycznienie i ręczne sterowanie prokuraturą, represjonowanie niepokornych prokuratorów, awansowanie i nagradzanie śledczych, którzy zdecydowali się z władzą współpracować. Nikt już nie pamięta o dokonaniach Święczkowskiego z lat 2005–2007, gdy rządziło PiS.

Święczkowski

karierę zawdzięcza Ziobrze, z którym w latach 90. robił aplikację prokuratorską. W 2001 r. Ziobro, będąc wiceministrem w kierowanym przez Lecha Kaczyńskiego resorcie sprawiedliwości, ściągnął Święczkowskiego do Prokuratury Krajowej, żeby zajmował się m.in. tropieniem źródeł informacji dziennikarzy, którzy pisali niepochlebnie o dygnitarzach rządu Akcji Wyborczej „Solidarność". Po odwołaniu Kaczyńskiego z funkcji ministra sprawiedliwości Święczkowski został szeregowym prokuratorem w Prokuraturze Okręgowej w Katowicach. Jesienią 2005 r., po wygranych przez PiS wyborach, Ziobro awansował go na dyrektora Biura ds. Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Krajowej, gdzie miał nadzorować najważniejsze śledztwa.

Jako fanatyczny wyznawca teorii spiskowych Święczkowski postanowił rozprawić się z mitycznym układem w prokuraturze. Wytypowano grupę wysokich rangą prokuratorów, których zaczęto mieszać w absurdalne i wyimaginowane afery.

Sprawa wyszła przypadkiem, gdy były zastępca prokuratora generalnego Andrzej Kaucz

został wezwany na przesłuchanie do Prokuratury Krajowej, która prowadziła śledztwo w sprawie nielegalnego obrotu ziemią należącą do Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa. Jeden z podejrzanych po wielu latach przypomniał sobie nagle, że Kaucz może być zamieszany w sprawę. Prokurator Kaucz zeznał: **„Chcę wskazać na przyczyny, dla których niniejsze postępowanie zostało zainicjowane. Po objęciu funkcji prokuratora generalnego przez Zbigniewa Ziobrę, w kilka miesięcy później dyrektorem Biura Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Krajowej został pan Święczkowski. W drodze kontaktów z ministrem sprawiedliwości prokuratorem generalnym ustalono listę osób z Prokuratury Krajowej, co do których założono, że za wszelką cenę należy wobec nich wszcząć postępowania dyscyplinarne, a nawet karne. Na czele tej listy znalazła się prokurator Małgorzata Wilkosz-Śliwa. Ja również figurowałem w składzie tej grupy. (…) Pan Święczkowski polecił pionowi PZ** (Przestępczości Zorganizowanej – przyp. A.S.) **dokonać kwerendy prowadzonych spraw karnych, gdziekolwiek pojawiały się nasze nazwiska. W przypadku mojej osoby na skutek informacji uzyskiwanych z prokuratur w Polsce, gdzie przewijało się moje nazwisko, byłem przesłuchiwany w charakterze świadka. Te przesłuchania miały miejsce m.in. w Prokuraturze Okręgowej w Rzeszowie, gdzie byłem przesłuchiwany w sprawie żądania przeze mnie korzyści majątkowej w kwocie 200 tys. zł w zamian za umorzenie postępowania dotyczącego firmy »1 Przemysłowa«. Nadto w tej samej prokuraturze byłem przesłuchiwany w sprawie Wiesława Huszczy na okoliczność udzielenia mu pomocy w załatwianiu transakcji poprzez wskazanie skutecznego adwokata. W Prokuraturze Okręgowej w Gdańsku byłem przesłuchiwany w sprawie mafii paliwowej na okoliczność zawiązania przeze mnie agenturalnej siatki byłych funkcjonariuszy i rezydentów STASI w Polsce po 1989 r. Następne postępowanie, w którym występowałem i byłem przesłuchiwany kilkakrotnie, najpierw w Prokuraturze Okręgowej w Opolu, a następnie w Prokuraturze Apelacyjnej w Katowicach, to była sprawa dotycząca narady u prokuratora Napierskiego i wypuszczenia z Polski Edwarda Mazura. Przypominam sobie jeszcze jedno postępowanie prowadzone przez Prokuraturę Okręgową w Gdańsku, a dotyczące przyjęcia przez Jerzego Jaskiernię kwoty 10 mln zł (…) w zamian za lobbing w sprawie ustawy medialnej, o czym miałem powziąć wiedzę podczas strzelania organizowanego dla prokuratury przez UOP w Warszawie, a następnie nie nadałem biegu tej sprawie. Te wszystkie postępowania miały miejsce na przestrzeni 1,5 roku. Wszystkie te postępowania zostały umorzone. W paru przypadkach prokurator Święczkowski osobiście interesował się biegiem spraw, interweniował w ich przebieg u referentów, przepytując ich na okoliczność podstaw decyzji o umorzeniu, dając im polecenia znalezienia innych spraw".**

W 2006 r. Święczkowski został szefem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW). To on przygotowywał

prowokację wobec Barbary Blidy i to on odpowiada za jej śmierć. Podczas przesłuchania przed sejmową komisją śledczą stwierdził, że Blida **„dopuściła się szeregu przestępstw korupcyjnych na kilkaset tysięcy złotych"** i tylko śmierć sprawiła, że uniknęła kary.

„Proszę mieć szacunek dla zmarłej. Niech pan pamięta, że Barbara Blida nie może się bronić" – upominał Święczkowskiego przewodniczący komisji Ryszard Kalisz.

„Ani pan, ani ja nie włożyliśmy jej broni do ręki. Jestem przeciwny robieniu z niej bohatera" – odpowiedział Święczkowski.

Blida wcale nie popełniła samobójstwa, jak głosi pisowska propaganda. Ktoś jej w tym pomógł. Z ustaleń komisji śledczej wynika, że między Blidą a pilnującą ją funkcjonariuszką ABW doszło do szamotaniny. Gdy broń wypaliła, funkcjonariuszka uciekła z łazienki i jak gdyby nic się nie stało, usiadła w fotelu przed łazienką. Ślady z miejsca tragedii zostały dokładnie zatarte. Ciało Blidy było nienaturalnie ułożone, co wykluczało wersję o samobójstwie. Wytarto ślady odcisków palców z rewolweru. Na kurtce funkcjonariuszki nie było śladów prochu strzelniczego, nie było krwi Barbary Blidy. Jak się okazało, kurtka została podmieniona.

To nadzorowana przez Święczkowskiego ABW zmontowała polityczną hucpę, jaką było wmieszanie byłej posłanki SLD w tzw. mafię węglową. Przebywająca w areszcie Barbara Kmiecik po nieformalnych wizytach funkcjonariuszy ABW została nakłoniona przez nich do współpracy. Postawiła warunek – będzie mówić, ale musi wyjść na wolność. Sąd uchylił wobec niej areszt, a ta kilka dni po opuszczeniu celi zaczęła składać zeznania obciążające Blidę. ABW dysponowała też opowieściami byłego posła SLD Ryszarda Zająca o tym, że gdzieś słyszał, że Kmiecik opłacała Blidę. Choć zeznania te były

funta kłaków warte, to machina osaczania byłej posłanki nabrała tempa. Do centrali ABW w Warszawie (z pominięciem drogi służbowej) wezwano katowickiego prokuratora Tomasza Balasa, który spotkał się ze Święczkowskim, jego zastępcą Grzegorzem Ocieczkiem oraz szefem delegatury ABW w Katowicach Rafałem Śliwińskim. Funkcjonariusze policji politycznej nakazali prokuratorowi przyśpieszenie śledztwa w sprawie Blidy. W lutym 2007 r. w kancelarii premiera Jarosława Kaczyńskiego odbyła się narada, na której Ziobro i Święczkowski referowali sprawę mafii węglowej. Święczkowski twierdził, że sprawa jest **„hiciorem"** i **„przez Blidę można wyjść na osoby z wierchuszki SLD"**, m.in. Wacława Martyniuka, Krzysztofa Janika, Jacka Piechotę, Leszka Millera, Aleksandra Kwaśniewskiego. Święczkowski oświadczył, że świadkami są Kmiecik i Zając. Komendant główny policji Konrad Kornatowski, szef MSWiA Janusz Kaczmarek i zastępca prokuratora generalnego Tomasz Szałek oponowali, twierdząc, że Kmiecik i Zając nie są wiarygodni, a ten drugi ma skłonności do konfabulowania. Dyskusję zakończył Kaczyński stwierdzeniem, że jeśli są **„stalowe"** dowody, to należy **„zamknąć"** Blidę.

2 dni przed zatrzymaniem Blidy w ośrodku ABW w Magdalence doszło do kolejnego nieformalnego spotkania. Wzięli w nim udział m.in. Kaczyński, Ziobro i Święczkowski, który dysponował już zarzutami, jakie miała usłyszeć była polityczka SLD. Mówił, że jeśli Blida zostanie aresztowana, to na pewno coś powie. Gdy pojawiła się wątpliwość, czy sąd zastosuje wobec niej areszt, Święczkowski stwierdził, że **„jest to już załatwione".** Stwierdzenie to nie było gołosłowne, gdyż w tym samym czasie prezesem Sądu Okręgowego w Katowicach została Monika Śliwińska, znajoma Święczkowskiego i żona jego podwładnego – dyrektora delegatury ABW w Katowicach. Okazało się, że to Święczkowski polecił Ziobrze kandydaturę Śliwińskiej, a ten przedstawił ją śląskiemu zgromadzeniu sędziów. Gdy sprawa wyszła na jaw, oburzenia nie krył Stanisław Dąbrowski, przewodniczący Krajowej Rady Sądownictwa, twierdząc, że służby specjalne nie powinny w demokratycznym państwie ingerować w działalność samorządu sędziowskiego.

Zatrzymanie Blidy zaplanowane było jako medialne przedstawienie. Ziobro miał wystąpić na specjalnej konferencji prasowej. Na Śląsk udali się Święczkowski i jego zastępca Ocieczek. Przed komisją śledczą łgali, że byli tam przypadkiem. Ocieczek twierdził, że był na pogrzebie kolegi, ale nie pamiętał jego nazwiska ani nazwy miejscowości, gdzie był chowany. Święczkowski miał załatwiać prywatne sprawy. Tymczasem 2 dni przed zatrzymaniem Blidy był w katowickiej delegaturze, gdzie instruował podwładnych co do sposobu przeprowadzenia aresztowania.

Sprawa Blidy nie była jedynym

wydarzeniem świadczącym o skurwysyństwie szefa ABW. Na celowniku Świeczkowski miał też Jarosława Wałęsę. Otrzymał zdobytą drogą operacyjną informację, że eurodeputowany Platformy Obywatelskiej miał rzekomo prowadzić wspólne interesy z gangsterami. Nie mając pewności, że informacja jest prawdziwa, poinformował o sprawie Kaczyńskiego, który, jak zeznał były szef MSWiA Janusz Kaczmarek, miał powiedzieć, że **„przez młodego wyjdziemy na starego".** Mimo szeroko zakrojonej akcji zbierania haków nic jednak na syna Wałęsy nie znaleziono. Gdy sprawę opisała „Gazeta Wyborcza", Święczkowski wysłał do prokuratora generalnego zawiadomienie o podejrzeniu **„wykorzystywania służb specjalnych do dyskredytacji niektórych kandydatów w wyborach",** gdyż akurat trwała kampania do sejmu, do którego kandydował.

Święczkowski odpowiada też za nielegalną inwigilację mecenasa Wojciecha Brochwicza, byłego oficera UOP związanego z politykami Platformy. Nie poniósł za to konsekwencji, gdyż na uchylenie mu immunitetu prokuratorskiego nie zgodził się Odwoławczy Sąd Dyscyplinarny przy prokuratorze generalnym.

Podobnych spraw na sumieniu Święczkowski ma więcej. Jak ujawnił szef ABW Krzysztof Bondaryk, Święczkowski inwigilował ludzi na zlecenie Ziobry. Brał materiały operacyjne z klauzulą „ściśle tajne" nawet na 2 tygodnie. Czasami było to odnotowywane, czasami nie. Potwierdził to także Janusz Kaczmarek w książce „Cena władzy"; wspominał, że

Święczkowski zanosił teczki z hakami na znanych ludzi Kaczyńskiemu i Ziobrze.

O zbieraniu materiałów obciążających polityków lewicy na zlecenie Święczkowskiego mówił prokurator Marek Wełna.

Święczkowski nigdy nie odpowiedział przed sądem za swoje niegodziwości. Teraz pod pisowskie dyktando będzie oceniał zgodność ustaw z konstytucją. □

nie@redakcja.nie.com.pl

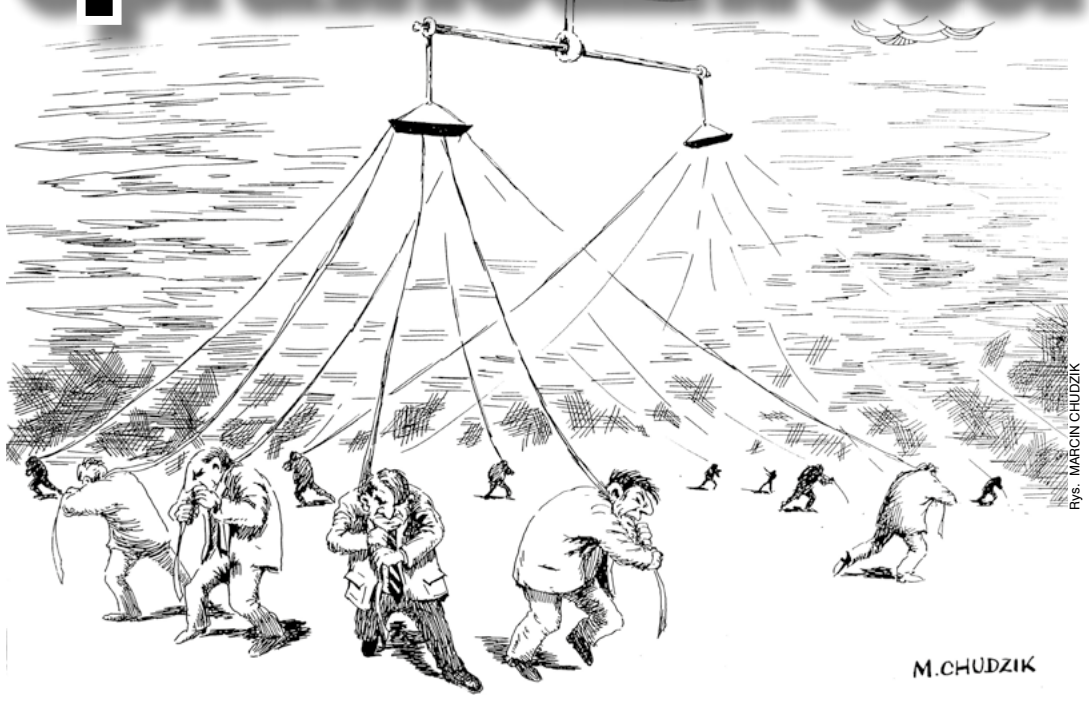

Rys. MARCIN CHUDZIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Po telewizyjnych komentatorach sportowych kibice raczej nie spodziewają się ani maestrii językowej, ani doktoratu z fizyki kwantowej, ani powierzchowności Brada Pitta. Niech tylko nie przeszkadzają oglądać tego, co robią sportowcy – i wszystko będzie OK. Nikt też nie oczekuje od komentatorów, żeby prezentowali poglądy polityczne; przeciwnie – im mniej mówią o polityce, tym lepiej. Tak zdają się postępować nawet (a może zwłaszcza) sprawozdawcy zatrudnieni w pisowskiej telewizji publicznej.

Oprócz jednego. Nazywa się Babiarz i ostatnio dał koncert głupoty i wazeliniarstwa.

Najpierw – gdy komentował otwarcie Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pekinie – zareagował na „Imagine" Johna Lennona. Babiarz mógł milczeć, lecz uznał, że utwór ten nie został wykorzystany przypadkowo: chińscy organizatorzy posłużyli nim ze względu na jego komunistyczny i antyreligijny przekaz. Nawet osły stanęły jak wryte, a potem ryknęły ze śmiechu.

Gdy wróciły do żucia siana i postukiwania kopytami, Babiarz znów dowalił do pieca. Niby żartem zauważył: skoczek narciarski Dawid Kubacki dlatego odniósł sukces, zdobywając brązowy medal, że relacja ze skoków była dostępna również w TVP (a nie tylko w Eurosporcie i TVN, jak to w tym sezonie jest z transmisjami zawodów Pucharu Świata).

Babiarz wyróżnia się oryginalnym nazwiskiem i na tym powinien poprzestać. Nie chciał jednak przeoczyć okazji do wylizania dupy prezesowi Kurskiemu i innym pisowcom – i postanowił skorzystać w pracy ze swoich płytkich pokładów umysłowych. Może dlatego nawet jego koledzy nazywają go Przemkiem o Bardzo Małym Rozumku. Jeśli taki bałwan w ogóle może mieć kolegów… □

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl bdf9a50777

Spadną ceny albo głowy

Rządowa recepta na drożyznę: rozkułaczyć kułaków, posadzić spekulantów, ochrzcić Żydów.

Rys. JANEK KOZA

Mimo zapowiedzi premiera Morawieckiego po wyzerowaniu VAT-u ceny żarcia nie spadły, lecz wzrosły, wobec czego wszczęto poszukiwania szkodników odpowiedzialnych za wypaczenia obrotu towarami pierwszej potrzeby. Wykryto wrogie elementy wśród kupców, w szczególności w sieciach handlowych mających zagranicznych mocodawców.

Na puszczy

Zagraniczny mocodawca z definicji jest krwiopijcą pragnącym wyssać z Polaków gen wolności, gdyż, jak wiadomo, pozbawieni unikatowego genu Polacy natychmiast klękną przed Brukselą i zapłacą za Turów i Izbę Dyscyplinarną. Wykastrowany duchowo naród nie jest godny, żeby przewodził mu Jarosław Kaczyński, największy naczelnik z rodów Słowian i Wikingów, dlatego władza powiedziała zagranicznym krwiopijcom gromkie „nie!”.

Sygnał „do boju!” zagrał premier, apelując **„do wszystkich przedsiębiorców, którzy handlują towarami żywnościowymi o odpowiednie obniżenie cen produktów”** i wzywając **„wszystkich Polaków, by sprawdzali ceny w sklepach i rozliczali handlowców”.**

Nie wyjawił, czy nieuczciwych handlowców należy wieszać od razu czy dopiero po wyznaniu win, przez co pozbawiony azymutu naród zastygł w rozkroku. Apel premiera okazał się wołaniem na wyciętej puszczy. Efekt: nierozliczeni i niepowieszeni kupcy ceny podnosili w najlepsze, prowokując naród wybrany do antyrządowych wystąpień i kontrrewolucji.

Ręka odrąbie

Morawiecki dostrzegł, że ojczyzna znalazła się nad przepaścią i aby zapobiec dalszej anarchizacji życia społecznego, na ulice polskich miast i wsi wyprowadził inspektorów Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. A ściślej: zbrojne ramię urzędu w postaci Inspekcji Handlowej. Tomasz Chróstny, prezes UOKiK, to towarzysz doświadczony na odcinku walki z anarchią; niedawno bez mrugnięcia okiem uznał, że zakup niemal całej prasy regionalnej przez Orlen nie stanowi naruszenia przepisów antymonopolowych, należało się więc spodziewać, że i teraz wykaże się patriotyzmem i odpowiedzialnością za losy kraju. I tak się stało.

„Zaczynamy stały monitoring cen produktów spożywczych. Do sprawdzanego przez nas cyklicznie koszyka włożymy m.in. takie produkty jak pieczywo, nabiał, warzywa czy owoce. Wartość koszyka dóbr podstawowych będziemy monitorować. Chcemy zweryfikować reakcję sprzedawców na ustawowe obniżki. Zachęcamy przedsiębiorców do odpowiedzialności i niewykorzystywania sytuacji do podnoszenia cen i marż kosztem konsumentów. Raz jeszcze apeluję o odpowiedzialne działania ze strony sprzedawców i producentów, bo wszyscy stoimy przed ogromnym wyzwaniem” – obwieścił prezes.

Na koniec podziękował **„za pozytywną i odpowiedzialną reakcję sklepów, które już zapowiedziały obniżki lub je wprowadziły”,** ale także ostrzegł wichrzycieli oraz spekulantów, wywodząc, że **„na razie mają jeszcze czas na przemyślenie strategii cenowych, lecz kolejnym krokiem mogą być postępowania w sprawie naruszenia zbiorowych interesów konsumentów, za które grozi kara do 10 proc. obrotu”.**

Tym samym dał do zrozumienia, że jeśli kupcy obniżek nie wprowadzą, dosięgnie ich ręka sprawiedliwości ludowej, która zwyczajowo to i owo odrąbie.

Po exposé prezesa Chróstnego polskie media, z telewizją publiczną na czele, poinformowały Polaków, iż mogą spać spokojnie, gdyż **„ceny żywności są pod urzędową kontrolą”.** Sterowane przez zagranicznych warchołów media polskojęzyczne wypowiedź szefa UOiKK zignorowały, bo dobrobyt Polaków nie leży im na sercu.

Precz z mitami

Inspekcja Handlowa to instytucja na polu walki ze spekulacją zasłużona. To ona w czasach komuny przy pomocy Milicji Obywatelskiej i jej Ochotniczych Rezerw wysyłała do pudła cwaniaków kupujących taniej i sprzedających drożej. Jednym z pierwszych ruchów po wprowadzeniu stanu wojennego było uchwalenie przez Sejm ustawy o zwalczaniu spekulacji, za stosowanie zawyżonych cen przewidującej karę grzywny, odsiadkę w mamrze oraz **„przepadek towarów i pieniędzy wykrytych u sprawcy, chociażby nie były one własnością sprawcy”.** Zgodnie z nią Inspekcji Handlowej w zmaganiach z kontrą pomagały Inspekcje Robotniczo-Chłopskie, społeczne organy kontrolne powoływane przy komitetach terenowych PZPR. IRCh-a wyłapywała spekulantów, których następnie piętnowano w mediach, po czym skazywano w procesach pokazowych. W wyniku spisku w Magdalence władzę oddano spekulantom i cinkciarzom, a ci nie byli zainteresowani tym, by ścigać samych siebie i społeczne inspekcje przestały działać, a Inspekcja Handlowa straciła na znaczeniu. Lumpenliberałowie wmówili Polakom, że kartki i ceny urzędowe to utopia, bo towar wart jest tyle, ile jest w stanie za niego zapłacić konsument, co z kolei zależne jest od podaży i popytu. Na szczęście dobra zmiana obnażyła wszystkie mity założycielskie III RP, w tym mit o niewidzialnej ręce rynku jako regulatorze cen.

Żmija na piersi

Wraz z dojściem PiS-u do władzy odsunięto od koryta mafie vatowskie i współpracujących z nimi spekulantów oraz cinkciarzy. Niestety – sprawiedliwości dziejowej stało się zadość jedynie poniekąd, albowiem zmiana ustrojowa nie została doprowadzona do końca i niektóre kluczowe stanowiska wciąż obsadzone są elementem niepewnym politycznie. Żmiją wyhodowaną na pisowskiej piersi okazał się Adam Abramowicz, w 2018 r. powołany przez premiera Morawieckiego na stanowisko rzecznika małych i średnich przedsiębiorstw. Abramowicz po apelu wystosowanym przez premiera i szefa UOKiK zamiast wezwać do rozprawy ze spekulantami, wydał oświadczenie całkowicie sprzeczne z linią partii.

„Należy mieć świadomość, że obniżenie stawek VAT nie zawsze gwarantuje obniżenie ceny, gdyż na tę cenę składają się: koszty operacyjne, w tym koszty zakupu towarów i marża, i dopiero do tak wyliczonej kwoty dodaje się VAT. Jeżeli koszty operacyjne będą wzrastały, to przy zachowaniu stałej marży cena musi rosnąć. (…) Firmy w Polsce działają na wolnym rynku, którego ograniczenie może być wprowadzone wyłącznie na drodze ustawy. Obecnie nie ma ustawy, która ograniczałaby dowolne kształtowanie marży handlowej przez sprzedającego, a co za tym idzie ceny końcowej dla konsumenta. Zgodnie z Kodeksem Cywilnym obowiązuje zasada swobody umów i stanowiąc podstawowy element konstytucyjnej wolności działalności gospodarczej, należy ona do kluczowych zasad ustrojowych. Zasada swobody umów przesądza, że strony zawierające umowę mogą ułożyć stosunek prawny według swego uznania, byleby jego treść lub cel nie sprzeciwiały się właściwości (naturze) stosunku, ustawie ani zasadom współżycia społecznego. Powyższa zasada dotyczy zakupów, także codziennych, podczas których każdorazowo dochodzi do zawierania umów, choć niespisanych na piśmie. Nabywca faktycznie wyraża wtedy zgodę na cenę poprzez dokonanie zapłaty” – czytamy w oświadczeniu. Dalej Abramowicz bezczelnie zwraca uwagę instytucjom państwowym, że **„producent i sprzedawca nie będą w stanie funkcjonować, prowadząc działalność bez marży i poniżej kosztów, nawet pomimo obniżonych stawek podatkowych, przedsiębiorca może być obowiązany do określonego zachowania tylko na podstawie przepisów prawa, a zapowiedziane przez UOKiK kontrole u przedsiębiorców muszą być uzasadnione i nie mogą być przeprowadzane przez nieupoważnione podmioty i w dowolnym trybie”.**

Ten ostatni kawałek to nie tylko przejaw buty, ale także wyraźnego odchylenia trockistowskiego, bo wiadomo, że pisowskie państwo nie zwija się, tylko rozwija i ma prawo kontrolować majątki wrogów klasowych bez żadnego trybu.

Próbny balon

Żeby zatkać gęby pięknoduchom płaczących nad konstytucją, należy pilnie odkurzyć ustawę o zwalczaniu spekulacji z 1981 r. Po jej implementacji w majestacie prawa sadzać, palić, gwałcić, truć i wieszać wszystkich sprzeciwiających się woli narodu wyrażanej przez pisowski rząd. Inspekcje Robotniczo-Chłopskie czym prędzej winny ruszyć w Polskę, a w ich składzie nie powinno zabraknąć członków Klubów „Gazety Polskiej”, kółek różańcowych i żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej, a kierowanie tym organem należy powierzyć Markowi Suskiemu.

Najwyższa pora na przywrócenie kartek na żywność, cen urzędowych i kary śmierci za spekulacyjną sprzedaż artykułów żywnościowych.

Wygląda na to, że rząd kolejny raz stanie na wysokości zadania. Oto pisowski poseł Kazimierz Smoliński ogłosił, że **„być może trzeba będzie wprowadzić prawo, że za chleb nie będziemy płacić więcej niż 2 złote, bo sama obniżka VAT może nie wystarczyć”,** aby uratować Polaków przed fundowaną przez Zachód nędzą. To na razie balon próbny, ale ciąg dalszy niechybnie nastąpi…

Ustawa o zwalczaniu spekulacji powinna jednak pozwalać na pewne odstępstwa. Bo trudno sobie wyobrazić, aby Inspekcja Robotniczo-Chłopska pod przewodem Suskiego dobierała się do żony premiera za to, że kupiła od Kościoła ziemię za 700 tys., a sprzedała za 15 mln zł.

MARIAN ŚRUT

Co Macierewicz powiedział Morawieckiemu, że ten zrobił taką minę?

Facebook

Michał Żółwik Kazubek: Przepisałem komisję smoleńską na twoją żonę.
Artur Artur: Panie premierze, ile zyskał pan na Polskim Ładzie?
Agnieszka Miauczynska: Antek: Jak tam Polski Ład? Pinokio: A jak tam smoleński wrak?
Damian Lubos-Sokolovsky: Słyszałem, że żona kupuje plac Świętego Piotra.
Marta Krzemień: Mati, zrób groźną minę.
Przemo Przemo: Wiesz, że działeczka rymuje się z teczką? Fajne, nie?
Gosia Pranszke: Kaczyński cię tak naprawdę nie kocha.
Mateusz Świerski: Tak naprawdę nie było wybuchu.
Branka Bezet: Żona Szumowskiego ma większy majątek od twojej.
Maciej Dadej: Twoja żona uciekła z Kościńskim.
Joanna Janiszewska: Zostałem nowym ministrem finansów.
Cezar Borgia: Powiedział mu, ile kosztuje chleb.
Maciej Maciej: Wszystkie orgazmy udawałem.
Jakub Włodarczyk: Mateusz, słyszałeś, że podobno jakaś księgowa ogarnęła Polski Ład?

Forum

Lady Macbeth: Idź krowy paść na działkach żony.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

Mam déjà vu. 20 lat temu w Polskiej Partii Socjalistycznej dostawałam po łbie od wyznawców Realpolitik, ponieważ byłam przeciwko zapisywaniu PPS do SLD. Towarzysze zarzucali mi, że wpycham partię w izolacjonizm, a tu trzeba kupą, bo **„nie ma wroga na lewicy”.** Tymczasem ja byłam przeciwna nie jakiejkolwiek koalicji, tylko koalicji z dominującą formacją, o której było wiadomo na pewno, że nas pożre i wypluje, zostawiając sobie historyczny sztandar w charakterze akcesorium i likwidując związaną z nim tożsamość.

To samo myślę dziś o koalicji byłego SLD z Tuskiem.

A.

Na początku milenium alternatywą pójścia na listach Sojuszu była koalicja z Samoobroną. W wyborach w 2000 r. Lepper dostał wprawdzie tylko 3 proc. poparcia, ale było to jednak 15 razy więcej, niż dostał Ikonowicz. Zresztą notowania Samoobrony wystrzeliły po tej kampanii tak, że w wyborach sejmowych rok później chłopscy buntownicy przekroczyli 10 proc. i skończyli jako trzecia siła w Sejmie, 2 proc. za Platformą. Najważniejsze zaś było to, że mógł to być wzajemnie korzystny mariaż: Samoobrona miała za sobą *momentum* i siłę wkurwionego ludu, my mieliśmy swoisty patent na lewicowość: pryncypialne poglądy, sporo mądrych, wykształconych ludzi, zajebiście ideową młodzieżówkę i ponad 100 lat historii. W tych sprawach, które były kluczowe, się zgadzaliśmy – Balcerowicz musiał odejść – a w pozostałych należało prowadzić nienatrętną pracę organiczną, np. tłumacząc koalicjantowi, dlaczego pytanie: „Czy można zgwałcić prostytutkę?”, nie jest takie śmieszne, jak mogło się na pierwszy rzut oka wydawać.

Andrzej Lepper był niezwykle zdolnym politykiem, otwartym na nowe wiadomości. Gdyby nie wpadł w ręce Tymochowicza, a później Kaczyńskiego – jego losy, a także losy lewicy w Polsce mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej.

B.

Dziś sytuacja jest dość podobna – z tą różnicą, że były Sojusz nie jest siłą pożerającą, tylko zagrożoną pożarciem. Ale sposób, w jaki Tusk odnosi się do potencjalnych koalicjantów jako żywo przypomina lekceważenie, jakie lewicowemu planktonowi okazywał na początku milenium Miller.

Druga różnica jest taka, że na kilkanaście miesięcy przez wyborami w roku 2001 było już wiadomo, że ówczesna władza – pozbawiona sejmowej większości Akcja Wyborcza „Solidarność” z Marianem Krzaklewskim na czele – idzie na dno i że to Miller zajmie jego miejsce. Dziś wszystko jest

Jak Polacy użyźniają matkę Ziemię kałem i moczem.

Czujni mieszkańcy podwarszawskiego Zalesia Górnego zauważyli, że do miejscowej rzeki Czarna odprowadzane są rurami ścieki z posiadłości prezesa Narodowego Banku Polskiego Adama Glapińskiego. Sprawa jest śmierdząca, tym bardziej że pałac „Glapy” położony jest w środku Chojnowskiego Parku Krajobrazowego. Sprawę opisała „Gazeta Stołeczna”. Po interwencji dziennikarzy urzędnicy Polskich Wód zarządzili kontrolę. Choć rury ewidentnie wychodzą z posesji szefa banku centralnego (są nielegalne, gdyż nie ma ich na mapach i planach), to orzekli, że potrzebują aż kilku tygodni na ustalenia pokontrolne (sic!).

Sprawa ma drugie dno. Okazuje się, że Glapiński ma podpisaną umowę na odbiór ścieków komunalnych z Przedsiębiorstwem Wodociągów i Kanalizacji w Piasecznie. Czyżby

eprasa.pl bdf9a50777

Kupką, a nie kupą

Miejsce SLD w łańcuchu pokarmowym.

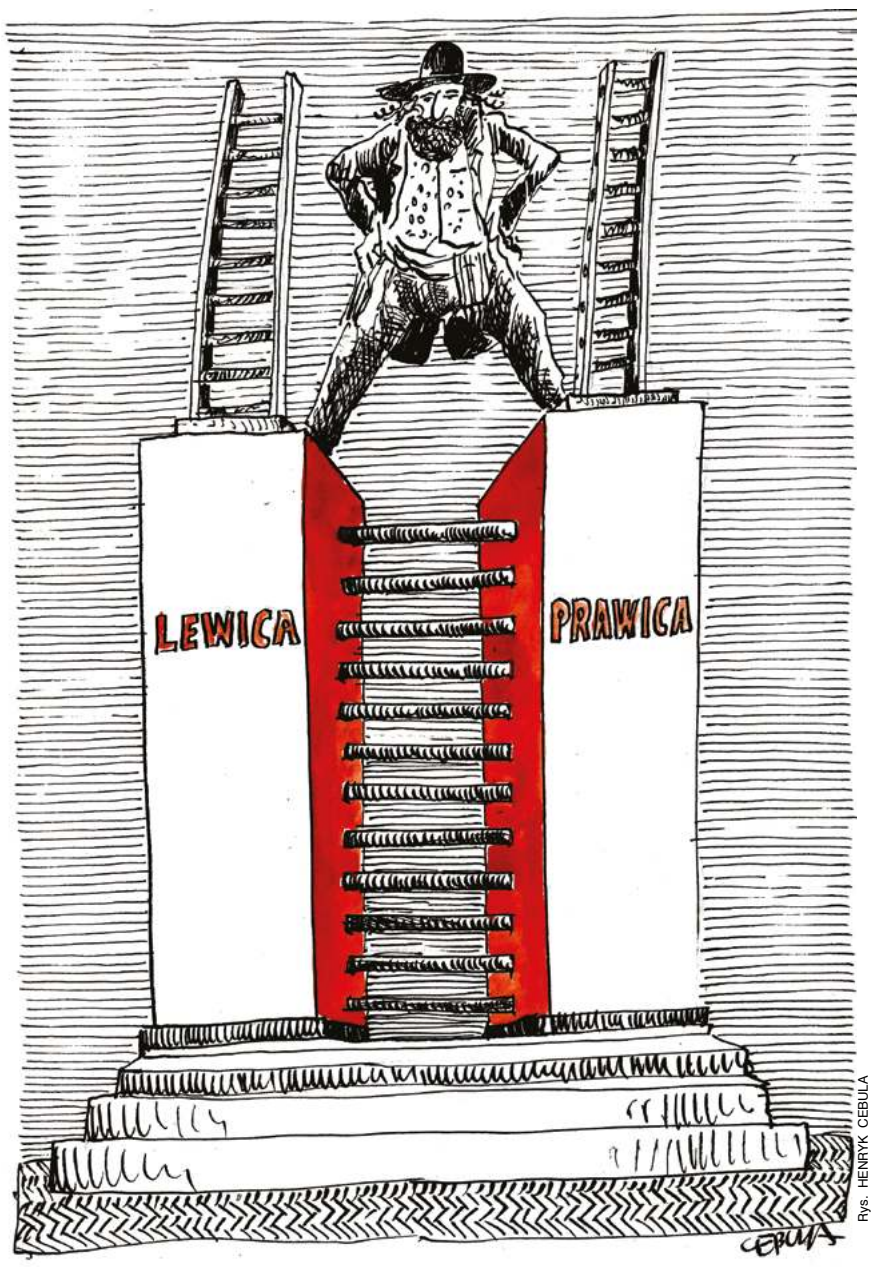

Rys. HENRYK CEBULA

jeszcze – jak to się modnie z angielska mówi – **„na stole”.**

Z jednej strony – rzeczywiście, PiS słabnie politycznie, a jego lider intelektualnie – najnowszy dowód to balon próbny w sprawie wycofania się z Funduszu Odbudowy; chyba nikt nie sądzi, że Bielan wygłosił taki tekst bez uzgodnienia z prezesem. Jednak Prawo i Sprawiedliwość nadal prowadzi w sondażach i nie ma nadziei, żeby powtórzyło los AWS i nie weszło do następnego Sejmu.

Z drugiej – karty na opozycji też bynajmniej nie są rozdane. Platforma może być największą siłą, ale ma nad sobą wyraźny szklany sufit: od powrotu Tuska w lipcu zeszłego roku jej notowania zawiesiły się na poziomie 25–26 procent i potencjału wzrostu jakoś nie widać.

Jako kontrpropozycję mamy Szymona Hołownię, który próbuje zaoferować **„siłom prodemokratycznym”** ścieżkę alternatywną do **„przemocowych zalotów Platformy”.** Żeby nie było wątpliwości: jestem jak najdalsza od zachwytów Hołownią, który jest w mojej opinii pozbawiony jakiejkolwiek treści, ma tylko ambicje, badania opinii i niezły słuch społeczny. Z całym tym inwentarzem wydaje mi się jednak mniejszym złem niż Tusk i jego bezwzględne dążenie do dominacji.

Co więcej –

argumentacja lidera Polski 2050 co do sensowności utworzenia dwóch list jest po prostu logiczna.

Hołownia wyłożył ją w odpowiedzi na list otwarty Stanisława Brejdyganta – będący skądinąd jednym z tuzinów publikowanych przez „Gazetę Wyborczą” tekstów komentatorów i listów czytelników, zapędzających całą opozycję pod skrzydła Tuska.

C.

Najważniejszy argument praktyczny jest taki, że d’Hondt daje premię nie największemu, tylko wszystkim dużym, kosztem małych pozostających pod progiem lub nieco nad nim. Toteż kluczowe jest, aby żadne głosy na opozycję nie zmarnowały się na partie 4- i 6-procentowe, czyli takie, które nie dostaną ani jednego mandatu, i takie, które dostaną ich kilka; znacznie mniej, niż wynika z procentowego rozkładu. W 2019 r. Konfederacja dostała prawie 7 proc. głosów. Proporcjonalnie powinno jej to dać 32 mandaty – dostała 11. Lewica z 13 procentami powinna mieć 60 posłów – miała 49.

Jednak już od mniej więcej 15 proc. d’Hondt daje premię. Dlatego dwie silne listy opozycyjne są równie dobre dla sejmowej arytmetyki jak jedna wspólna. Zaś z punktu widzenia trafienia do wyborcy dwie listy są ofertą znacznie sensowniejszą. Hołownia zwraca uwagę, że wspólna lista senacka pozwoliła wprawdzie na wygranie wyborów do izby wyższej, ale tylko o włos, ponieważ **„prawie milion wyborców, którzy zagłosowali na różnych opozycyjnych kandydatów do Sejmu, nie zagłosowało na kolejnej karcie z dogadanym przez wszystkie partie kandydatem do Senatu”.** Hołownia tłumaczy ten rozziew na przykładzie **„umownego wyborcy umownego Roberta Biedronia, który widzi, że kandydatem w jego okręgu ze wspólnej listy jest umowny Jarosław Gowin”** – i jest to przykład szczególnie mi bliski, bo w moim żoliborskim okręgu wspólnym kandydatem opozycji był Kazimierz Michał Ujazdowski. Co skłoniło mnie do wzięcia karteczki i zagłosowania na Mokotowie na Monikę Jaruzelską, co uczyniło mój głos zmarnowanym z punktu widzenia opozycyjnej senackiej większości.

Gwoli ścisłości – Hołownia nie proponuje rezygnacji z paktu senackiego, który wobec okręgów jednomandatowych jest jedyną metodą na uniknięcie bratobójczej walki na opozycji; przedstawia jedynie jego minusy, których nie da się uniknąć.

Da się ich natomiast uniknąć w wyborach sejmowych. Właśnie przez stworzenie dwóch silnych opozycyjnych list, oferujących wyborcy nie tylko alternatywne ugrupowania, ale także alternatywną filozofię **„odebrania władzy PiS-owi”.**

D.

Propozycja Hołowni – Konferencja o Przyszłości Polski, zaplanowana na pierwszy dzień wiosny – jest wyraźną alternatywą wobec prezentowanej przez platformianych liderów opinii, iż rozmowa o Polsce po PiS-ie jest jak ustawianie kwiatów na parapecie płonącego domu. Ci, którzy myślą w tych ostatnich kategoriach, niewątpliwie zagłosują na PO. Ale jest ich – jak trafnie, acz nie bez pewnej złośliwości zauważa Hołownia – **„zwyczajnie za mało, widzieliśmy to aż w sześciu ostatnich elekcjach”.** Dla bardzo wielu wyborców – do których się zaliczam – pytanie **„Co po PiS-ie?”** jest nie mniej ważne od osiągnięcia tego etapu. Nie dlatego, że dobrze nam się żyje w Kaczystanie, tylko dlatego, że nie chcielibyśmy do niego zaraz wrócić. Co może się rychło stać, jeśli po wyborach wygranych hasłem odebrania władzy PiS-owi Platforma Obywatelska powróci do metod i filozofii działania sprzed roku 2015.

Z drugiej wszakże strony – znów ta przeklęta ambiwalencja – Tusk i PO mają dużo łatwiej. W zasadzie nie muszą już wykonywać żadnej pracy poza zdzieraniem butów i ściskaniem rąk; Koalicja Obywatelska jest ofertą z gatunku **„widzą gały, co biorą”;** skończonym, jasno zdefiniowanym projektem pt. „Premier Tusk”. Tu nie ma miejsca na żadne wykuwanie tożsamości, negocjacje programowe, kompromisy. Wiadomo, kto będzie decydował. Ewentualna koalicja Polski 2050, ludowców i Lewicy jest tworem programowo trudnym dziś do wyobrażenia i ma przed sobą kupę roboty. Hołownia odważnie proponuje rozpoczęcie jej w świetle reflektorów na wiosennej konferencji, ale przecież wszyscy wiemy, że rzeczywiste zręby programu trzeba będzie wyorać w wielogodzinnych negocjacjach gabinetowych i będzie to orka na ugorze. Tożsamości tych trzech ugrupowań różnią się zasadniczo; ich systemy wartości także. „Europa” i „praworządność” to jest zaledwie temat wypracowania, cała treść dopiero musi zostać napisana.

E.

To, co daje nadzieję, że taka treść może powstać – to pewna wspólnota biedy tych trzech formacji, biorących w skórę na polaryzacji, na której zyskują Kaczyński i Tusk.

Dlatego sądzę – i w tej kwestii wreszcie radośnie zgadzam się z Urbanem, z którym zasadniczo różnimy się w ocenie Tuska – że alternatywna koalicja wyborcza powinna na wstępie zgodzić się co do nieczynienia elementem swojego programu jakichkolwiek planów odwetowych wobec obecnej władzy. **„Nie jestem zwolennikiem karania przywódców PiS i zapowiadania tego. Uważam, że takie pogróżki umacniają determinację teraz rządzących, żeby dla własnego bezpieczeństwa nie oddawać władzy za wszelką cenę. Są namową do fałszowania przez nich następnych wyborów różnymi sposobami”** – napisał Urban w listopadzie, polemizując z publikacją Tadeusza Jasińskiego wytykającego opozycji bezczynność na odcinku przygotowywania prawnego odwetu.

Podobnie jak Urban sądzę, że wyrwanie Polski z łap Kaczyńskiego jest znacznie ważniejsze niż danie mu po łapach. Platforma ma w tej sprawie inne zdanie – i jej wyborcy tego od niej oczekują. Myślę, że są też inni wyborcy – tacy, którzy marzą o tym, żeby pójść do przodu, nie oglądając się za siebie.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego PO i jej akolici upierają się przy tym, żeby tacy wyborcy nie mieli na kogo zagłosować. Nadzieja, że wobec braku alternatywy zagłosują na Platformę, może okazać się płonna. Mogą po prostu zostać w domu.

A to będą – tu zgadzamy się wszyscy – kurewsko ważne wybory.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Gówno płynie równo

cwana „Glapa” chciała zaoszczędzić i odprowadzała nieczystości wprost do rzeki, gdzie mieszkają chronione bobry?

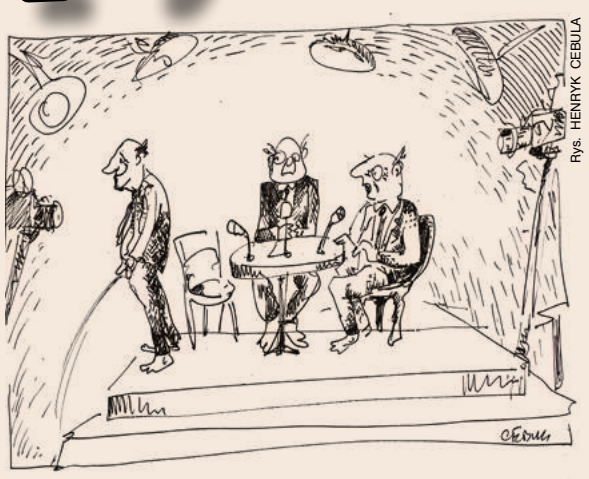
Rys. HENRYK CEBULA

Nie wiadomo, gdyż Glapiński nie raczył odpowiedzieć na pytania dziennikarzy.

• • •

Postępowanie Glapińskiego, choć naganne, nie jest odosobnione. Okazuje się, że podobnie robią miliony Polaków, którzy odprowadzają domowe nieczystości wprost do rzek, rowów melioracyjnych, na łąki czy do lasów, a groźne bakterie dostają się do gleby, wód powierzchniowych i gruntowych, stanowiąc zagrożenie dla ludzi i środowiska.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w 2019 r. dostępu do kanalizacji nie posiadało prawie 50 proc. budynków, w których mieszkało ponad 11 milionów ludzi. Gospodarstwa te są wyposażone w tzw. szamba, do których odprowadza się nieczystości. Problem polega na tym, że trzeba je regularnie opróżniać, a usługa wykonana przez profesjonalną firmę kosztuje. Aby zaoszczędzić, Polacy – podobnie jak Glapiński – odprowadzają szczyny i gówna wszędzie, gdzie popadnie. Problem dotyczy głównie terenów wiejskich, które nie są skanalizowane.

Kontrolerzy Najwyższej Izby Kontroli, którzy zajmowali się śmierdzącym problemem, policzyli, że na jedno statystyczne szambo przypada trochę ponad 11 m sześc. odebranych nieczystości. Tymczasem średnie zużycie wody przez 4-osobową rodzinę wynosiło ponad 134 m sześc. nieczystości rocznie. Czyli każdego roku jedno gospodarstwo domowe odprowadzało do środowiska ponad 120 tys. litrów ścieków. A ponieważ takich gospodarstw jest kilkaset tysięcy, to matka Ziemia wchłania prawdziwy ocean polskich szczyn, gówien i innych nieczystości.

• • •

W gminie Brzostek pracownicy Zarządu Dróg Powiatowych w Dębicy zauważyli ścieki zalegające w przydrożnym rowie. Po przeprowadzeniu kontroli okazało się, że kilkadziesiąt posesji wzdłuż drogi wyposażono w „rurociągi” odprowadzające ścieki z szamb wprost do rowu. Podobne rozwiązanie zastosowali mieszkańcy kilku posesji położonych w gminie Psary, którzy „rurociąg” podciągnęli do rowu melioracyjnego w lesie.

Nadzór nad wywozem nieczystości powinny sprawować samorządy. Nie robią tego, tłumacząc się brakami kadrowymi. Nawet gdy są przeprowadzane kontrole, to i tak nie wyciąga się z nich konsekwencji. Np. w gminie Ornontowice upoważnieni przez wójta pracownicy wraz z policjantem skontrolowali kilkaset domostw. Okazało się, że m.in. właściciele 50 gospodarstw nie posiadali żadnych dokumentów potwierdzających legalne opróżnianie szamb. W żadnym z tych przypadków nie wszczęto postępowania, a kontrole zakończyły się pouczeniem lub wystawieniem mandatu. Okazało się też, że 3 gminne budynki (w tym siedziba urzędu gminy) były podłączone do jednego szamba. Po sprawdzeniu stanu liczników zużycia wody w budynkach i dokumentów dotyczących wywozu nieczystości wyszło, że w ciągu dwóch lat „wyparowało” gdzieś 125 tys. m sześc. ścieków.

Z kolei w gminie Kozy urzędnicy sprawdzili 50 nieruchomości. Mimo że w 46 przypadkach stwierdzono zaniżoną ilość wywożonych ścieków w porównaniu do zużycia wody, to prawie wszystkie kontrole zakończyły się na pouczeniu, a w trzech przypadkach (w tym nieruchomości, których właściciel nie posiadał umowy ani dowodów płatności za usługę wywozu nieczystości) sprawę skierowano do policji, która umorzyła postępowanie.

• • •

Wójtowie i burmistrzowie tłumaczą się też, że nie egzekwują prawa, **„bo nie widzą takiego powodu”.** Zdaniem NIK istotną rolę odgrywają miejscowe uwarunkowania społeczno-polityczne. Sprawa jest prosta. Jeżeli w danej gminie na 1000 gospodarstw aż 95 proc. pozbywa się nieczystości w sposób nielegalny, to masowe karanie **„mogłoby wywołać niezadowolenie lokalnej społeczności, a w konsekwencji mieć wpływ wynik wyborów do władz gminy”.**

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nle.com.pl

eprasa.pl bdf9a50777

To jest napad!

Przed Sądem Okręgowym w Olsztynie rozpoczął się proces Dzielnicowego Roku Warmii i Mazur. Młodszy aspirant Marcin M. z Rucianego-Nidy został oskarżony o napady na banki.

Komendantem wojewódzkim policji jest w tych stronach nadinspektor Tomasz Klimek. Poszedł w górę jak korek od szampana w 2016 r., kiedy po objęciu władzy PiS wymieniło wszystkich szefów komend wojewódzkich. Wcześniej sprawdzał się jako komendant powiatowy w Mrągowie. Jego osiągnięcia na nowym stanowisku natychmiast zauważył prezydent Andrzej Duda, nagradzając szarżą generalską.

Po raz pierwszy w historii komendant warmińsko-mazurskiego garnizonu dostąpił takiego zaszczytu – podkreśliła głowa państwa.

Tysiąc, może dwa

23 sierpnia 2018 r. Barbara z Mrągowa zawiadomiła policję, że boi się o swoje zdrowie i życie. Kobiecie szła pięćdziesiąta wiosna, chciała zakończyć znajomość z Cezarym F., bo przerażała ją jego natarczywość. Słał SMS-y, kilkadziesiąt dziennie, bez ustanku dzwonił, nachodził w domu.

Prześladowca miał warsztat samochodowy. Naprawiał wózki dobrze, szybko i tanio. Czasem za symboliczny grosz. Klientami byli mrągowscy policjanci. Ile mogli oszczędzić przez rok, korzystając z usług zaprzyjaźnionego mechanika? Tysiąc, może 2 tys. zł rocznie?

Barbara kilkakrotnie prosiła policję o pomoc. Pierwsze zawiadomienie wycofała, bo napastnik na chwilę przestał ją niepokoić. Jak gdyby ktoś mu poradził: zbastuj.

Po kilku dniach wszystko wróciło do normy. Cezary F. znów dzwonił, nachodził, groził. Mówił potem: **„Nie spałem, nie jadłem, nie piłem, śledziłem ją od rana do wieczora non stop. W jej samochodzie zamontowałem nadajnik GPS”.**

Barbara błagała mundurowych: zróbcie coś! Wali metalowym prętem w mój balkon, uderza kijem w okna. W treści SMS-ów jest jasny przekaz, że niedługo mnie wykończy! Nie poradzę sobie sama. Zablokowałam 11 jego numerów, wciąż telefonuje z nowych!

W czwartek 13 września 2018 r. w mieszkaniu kobiety znaleziono jej podziurawione ciało. 8 kul, kilka utkwiło w sercu. Sprawca wszedł, wybijając drzwi balkonowe.

Policja podkreśliła: Niczego nie można nam zarzucić. Zareagowaliśmy w porę. 11 września 2018 r., czyli dwie doby przed śmiercią kobiety, wszczęliśmy postępowanie w sprawie gróźb karalnych i uporczywego nękania. Przesłuchaliśmy nawet pierwszych świadków.

Dwie i pół bańki

W sobotę 21 września 2019 r. tuż po dziesiątej wieczorem czterech kumpli wyczyściło jeden z większych olsztyńskich kantorów, położony w centrum miasta w bezpośrednim sąsiedztwie siedzib prokuratury i sądów.

Napastnicy mieli klucz do rolety antywłamaniowej i drzwi. Znali kod alarmu, ale w pośpiechu pomylili się, uruchamiając syreny. Zamiast spanikować zadzwonili do firmy ochroniarskiej.

Wszystko w porządku, pomyłka – uspokoili, podając tajny kod, znany tylko właścicielom kantoru.

Wyjęli rejestrator nagrań z kamer i dobrali się do sejfów. Ślimaczyli się, znów więc włączył się alarm. Znów uspokoili ochroniarzy.

„Wszystko w porządku, jestem właścicielem” – powtarzał włamywacz. Ochroniarzy coś tknęło i wybrali numer właściciela kantoru.

„Nie, nie dzwoniłem. Jestem w domu. To napad!” – wrzasnął.

Zanim przyjechała policja, złodzieje uciekli. Poruszali się po podwórzach starych kamienic, nieobjętych miejskim monitoringiem. **„Napad 100-lecia”** – ogłosiły gazety. Złodzieje pracowali w rękawiczkach. Dotarli na miejsce przestępstwa, zabrali 2,5 mln zł i rozpłynęli się jak duchy. Żadnego punktu zaczepienia. Nic…

46 tysięcy

14 stycznia 2020 r. ktoś napadł na bank w Pieckach. Wlazł do sali obsługi w kominiarce, postraszył pistoletem. Jaka to była giwera? Przerażone kasjerki nie miały pewności.

Może nawet atrapa? – rozważały w zaciszu domowych pieleszy.

Pewne były tylko tego, że do wnętrza wtargnął mężczyzna w sile wieku. I że bojąc się śmierci, oddały wszystko, co miały: ponad 46 tys. zł.

Sprawdzono monitoring, urządzono obławę z psami tropiącymi.

87 tysięcy

3 marca 2021 r. o wpół do czwartej po południu stracił kasę bank w Rozogach. To pod Szczytnem, w którym karty rozdaje Wyższa Szkoła Policji. Scenariusz ten sam co w Pieckach. Samotny, zamaskowany mężczyzna z bronią wymachiwał giwerą przed nosami personelu i ponaglał, żeby szybciej opróżniał szuflady.

Za opieszałość zastrzelę! – groził. Zmieniło właściciela 87 tys. zł.

Finały

Trup. Dość szybko stało się jasne, że policja wszczęła śledztwo w sprawie nękania Barbary już po jej śmierci, nie zaś kilka dni przed zastrzeleniem kobiety. Fałszerstwa ratującego wizerunek komendy policji w Mrągowie dokonała zatrudniona w niej policjantka. Akt oskarżenia w sprawie poświadczenia nieprawdy sądy odrzucały jak gorący kartofel. W końcu trafił do Sądu Rejonowego w Piszu, który warunkowo umorzył postępowanie.

Prokuratura nie zgłosiła zastrzeżeń dotyczących innych funkcjonariuszy korzystających z usług mechanika mordercy.

Kantor. Policja trafiła na ślad włamywaczy po kilku miesiącach, gdy złodzieje zaczęli wydawać kasę na luksusowe dobra. Jeden z przestępców w zamian za darowanie win zdecydował się sypnąć kumpli.

Mózgiem napadu okazał się były naczelnik olsztyńskiej policji, który zdobył rozgłos, tropiąc dilerów narkotyków. Skłonił do współpracy brata i dwóch kolegów. Jeden pracował w obrabowanym kantorze. Cieszył się zaufaniem właściciela, który tuż po napadzie wezwał go do robienia porządków.

Banki. Marcin M. przyznał się do napadu w Rozogach. Wyjaśnił, że terroryzował służbowym waltherem P99. Wyznał, że wzorował się na scenariuszu z Piecek, bo skoro tamtemu napastnikowi się powiodło…

Zdecydował się na przestępstwo, bo chciał sobie dorobić. Incydent nie wpłynął na jakość jego pracy dzielnicowego.

Prokurator dokleił policjantowi napaść z Piecek. Bo scenariusz ten sam. Samotny mężczyzna z giwerą… Marcin M. idzie w zaparte. Napadu w Pieckach dokonał inny potrzebujący. Ten napad był dla Marcina M. inspiracją.

Dowódca

Czy generał Klimek ma pecha? Czy może opisane przypadki to dowód na to, że w szeregach policji rośnie poziom stresu i frustracji?

Takich pytań nikt nie stawia. Nadinspektor jest przekonany o uczciwości podległych 3600 funkcjonariuszy.

„Morale pozostaje na bardzo wysokim poziomie, a jednostkowe potwierdzone przypadki łamania prawa przez funkcjonariuszy nie obniżają zaufania lokalnej społeczności do munduru” – zapewniał przy okazji jakichś policyjnych uroczystości.

Dobra wiadomość: wyłączono jawność procesu starszego aspiranta Marcina M., aby nie znalazł naśladowcy.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

Kryształ na półce Ziobry

Prezeską Sądu Okręgowego w Opolu została sędzia, która była przyczyną krwawej jatki, została ukarana naganą, broniła faszystów, pedofila, ale nie miała litości dla działacza Komitetu Obrony Demokracji.

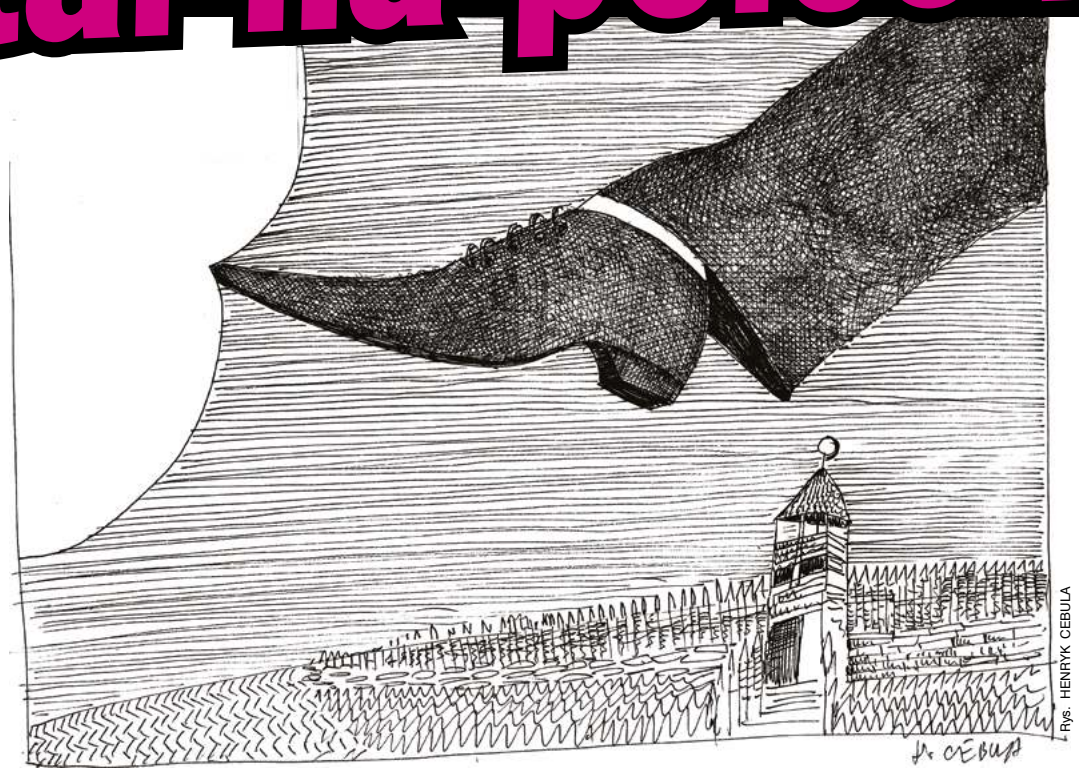

Rys. HENRYK CEBULA

Sędzia Małgorzata Marciniak zaliczyła życiowy awans raczej nie ze względu na wybitne osiągnięcia zawodowe. Ma za to porywczego męża i inne zalety, które musiały urzec ministra sprawiedliwości.

W kwietniu 2008 r. w Sądzie Rejonowym w Strzelcach Opolskich rozegrały się sceny jak z filmu klasy „B”. Mąż pani sędzi Jarosław, również sędzia, obił mordę koledze po fachu – sędziemu Piotrowi Stanisławiszynowi.

Poszło o rzekome lewe zwolnienia lekarskie, jakie sędzia Marciniak przynosiła od pewnego czasu do sądu. Jej sprawy z wokandy musiał prowadzić zawalony po uszy robotą sędzia Stanisławiszyn. Wkurzało go, że koleżanka unika wymierzania sprawiedliwości w imieniu Najjaśniejszej, nie brakuje jej natomiast sił i zdrowia, by prowadzić zajęcia dydaktyczne na Uniwersytecie Opolskim, za co brała pieniądze. Wiedział o tym, gdyż sam wykładał na tym samym wydziale, ale nigdy nie przyszło mu do głowy zawalać roboty w sądzie. Swoimi podejrzeniami Stanisławiszyn głośno dzielił się ze współpracownikami, poinformował też o tym prezesa sądu. O pretensjach pod adresem żony dowiedział się Jarosław Marciniak. Wkurzony, postanowił stanąć w obronie ślubnej. Pognał w te pędy do gabinetu Stanisławiszyna, gdzie doszło do sprzeczki. **„Nie życzę sobie, abyś wpierdalał się w nie swoje sprawy! Jak się nie zamkniesz, to ci przypierdolę, kapusiu!”** – miał wyłożyć prosto w oczy koledze po fachu Marciniak. Na co Stanisławiszyn odparł: **„No to spróbuj”.** Marciniak przypierdolił tak, że adwersarz zobaczył gwiazdki i zalał się krwią. Miał złamany nos i uszkodzone oko („Kiedy sędzia bierze w mordę”, „NIE” nr 25/2008).

„Nie mogę pojąć, jak człowiek piastujący urząd sędziego może zdobyć się na tak nieobliczalne zachowanie. Nie przypominam sobie, aby podobna sytuacja miała miejsce w powojennej historii Polski!” – mówił sędzia Andrzej Połata, rzecznik dyscypliny przy Sądzie Okręgowym w Opolu.

Sprawa zakończyła się pechowo dla małżeństwa Marciniaków. Jarosław został pozbawiony urzędu sędziego, a wobec Małgorzaty wszczęto postępowanie dyscyplinarne.

„Ze wszystkich stawianych jej zarzutów została ukarana za 2: prowadzenie zajęć na uczelni w tym samym czasie, w którym w sądzie przedstawiała zwolnienia, oraz niewypełnienie obowiązku. Chodzi o sytuację, gdy sędzia miała dyżur aresztancki, a mimo to nie można było jej znaleźć ani się do niej dodzwonić, więc jej obowiązki musiał przejąć wiceprezes sądu. Te czyny zostały uznane za rażące naruszenie przepisów. Co do reszty zarzucanych sędzi czynów uznano, że są to niewielkie uchybienia. Ostatecznie sąd wymierzył jej naganę, która zostanie wpisana do akt i tym samym ścieżka awansu sędzi będzie ograniczona, tak jak możliwość zajmowania stanowisk funkcyjnych” – mówił sędzia Witold Franckiewicz, rzecznik prasowy Sądu Apelacyjnego we Wrocławiu.

Ale może dla Ziobry nagana jest atutem do awansu?

Sędzia Marciniak ma jeszcze inne mogące się podobać osiągnięcia. Uniewinniła faszystów z Obozu Narodowo-Radykalnego, którzy pod pomnikiem Powstańców Śląskich na Górze Świętej Anny podczas składania kwiatów wykonali faszystowski gest „heil”. Zdaniem sędzi członkowie ONR nie popełnili przestępstwa, a gest, który wykonali, nawiązywał do korzeni łacińskich. **„Pozdrowienia przez uniesienie prawej dłoni wykonywane były przez faszystów. Jednak nie wolno zapominać o genezie tego gestu, który zrodził się w Cesarstwie Rzymskim i był to tzw. rzymski salut, a delegacja ONR-u, wykonując go, jednocześnie mówiła »Chwała bohaterom«, oddając w ten sposób cześć poległym powstańcom, a przy innych okazjach łącznie z wykonywanym salutem mówili »Czołem wielkiej Polsce«”** – wywodziła Marciniak, i to wbrew opinii biegłego, który stwierdził, że symbolika pozdrowienia wzniesioną prawą ręką jednoznacznie kojarzy się z ruchem faszystowskim i dla społeczeństwa polskiego ma wydźwięk negatywny.

Sędzia nie doszukała się też winy w postępowaniu pedofila, który w parku całował i obmacywał 13-latkę. **„Spotkanie z oskarżonym nie spowodowało żadnych następstw w sferze emocjonalnej i nie zakłóciło prawidłowego rozwoju pokrzywdzonej”** – wywodziła Marciniak, która nie miała za to litości dla 68-letniego działacza KOD Andrzeja Labachy.

W 2017 r. w centrum Opola spotkały się dwie manifestacje. W pierwszej wzięło udział kilkaset kobiet, które protestowały przeciwko działaniom pisowskiego rządu w sprawie ograniczenia dostępu do środków antykoncepcyjnych i zaostrzenia procedury wykonywania aborcji. W drugiej uczestniczyło kilku aktywistów Fundacji Pro – Prawo do Życia, wspartych przez narodowców z ONR, którzy zagłuszali kobiety, puszczając przez megafon modlitwy i pieśni kościelne.

Labacha, widząc nierównowagę sił, wziął megafon i przez kilka minut emitował z niego wycie syreny, co skutecznie zagłuszyło antyaborcjonistów, którzy wezwali policję, skarżąc się, że nie są w stanie prowadzić swojej manifestacji. Sprawa trafiła do sądu, a usłużna wobec PiS Marciniak uznała oskarżonego winnym zakłócania kontrmanifestacji i przywaliła mu 1000 zł grzywny.

A.S.

eprasa.pl bdf9a50777

Popiełuszko forever

Mordercy księdza Jerzego Popiełuszki są od dawna na wolności, a prokuratura Instytutu Pamięci Narodowej prowadzi śledztwo w sprawie kierowania uprowadzeniem i zabójstwem kapelana „Solidarności”.

Rys. HENRYK CEBULA

7 lutego 1985 r. w Sądzie Wojewódzkim w Toruniu zapadły wyroki w sprawie uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki. W tzw. procesie toruńskim skazani zostali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa – bezpośredni sprawcy morderstwa, czyli kpt. Grzegorz Piotrowski (na 25 lat więzienia), por. Leszek Pękala (15 lat) i por. Waldemar Chmielewski (14 lat), oraz ich przełożony płk Adam Pietruszka (25 lat).

1. Niewinni

W 1990 r. wszczęto śledztwo w sprawie generałów Zenona Płatka (dyrektora IV departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych) i Władysława Ciastonia (wiceszefa MSW i szefa SB). Obydwu postawiono zarzuty nie tylko podżegania do uprowadzenia i zabójstwa księdza, ale też ukrywania dowodów i udziału w związku przestępczym działającym w latach 80. w MSW. W 1994 r. generałowie zostali uniewinnieni. W 1996 r. sąd apelacyjny zwrócił sprawę sądowi pierwszej instancji. W 2000 r. proces Płatka zawieszono z powodu jego choroby (zmarł w 2009 r.). W 2002 Ciastoń został ponownie uniewinniony.

„Analiza materiału dowodowego nie dostarczyła podstaw do przypisania oskarżonemu winy w zakresie zarówno sprawstwa kierowniczego, podżegania, czy pomocnictwa w zabójstwie księdza Popiełuszki” – mówiła w ustnym uzasadnieniu wyroku sędzia Ewa Grochowska-Szmitkowska.

Sąd stwierdził, że prokuratura nie dostarczyła dowodu, by oskarżony udzielił sprawcom zabójstwa jakiejkolwiek rady lub informacji **„mającej służyć pomocą do dokonania przestępstwa, czy też by dostarczył im w tym celu jakieś środki techniczne”.**

Prokurator żądał dwunastu lat więzienia. Twierdził, że choć nie ma dowodów na to, iż Ciastoń bezpośrednio kierował zabójstwem Popiełuszki, to powinien być skazany za pomocnictwo w zbrodni. Miało ono polegać na wyrobieniu u sprawców poczucia bezkarności i… udzielaniu im pomocy psychicznej.

2. A może winni?

Wydawać by się mogło, że sprawa została ostatecznie zamknięta. Prokuratura nie dała jednak za wygraną. W 2001 r. prokuratorzy IPN wszczęli śledztwo **„w sprawie funkcjonowania w okresie od 28 listopada 1956 r. do 31 grudnia 1989 r. w strukturach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie związku, w skład którego wchodzili funkcjonariusze byłej Służby Bezpieczeństwa, kierowanego przez osoby zajmujące najwyższe stanowiska państwowe, który miał na celu dokonywanie przestępstw, a w szczególności zabójstw osób – działaczy opozycji politycznej i duchowieństwa”.** Jednym z wątków było znalezienie mocodawców porwania i zabójstwa Popiełuszki.

Śledztwo przydzielono prokuratorowi Andrzejowi Witkowskiemu, który przez jakiś czas zajmował się sprawą Ciastonia i Płatka. Witkowski odkrył, że w sprawę zabójstwa księdza zamieszanych było znacznie więcej osób niż 4-osobowa grupa esbeków. Popiełuszko mógł być wrzucony do rzeki później, niż wynikało to ze śledztwa z 1984 r. Być może przez kilka dni był gdzieś przetrzymywany i dopiero potem zamordowany albo przetrzymywano jego zwłoki. Witkowski ustalił też, że grupę Piotrowskiego obserwowała na bydgoskich Wyżynach – gdzie czekali, aż ksiądz Popiełuszko opuści kościół – inna grupa, z Wojskowej Służby Wewnętrznej. Funkcjonariusze z byłej WSW zostali przesłuchani, ale, jak uznał Witkowski, nie mówili prawdy. Twierdzili, że wtedy inwigilowali działaczkę „Solidarności”, i nic nie wiedzieli o grupie Piotrowskiego. Ale nigdy wcześniej i nigdy później nie śledzili tej działaczki, gdy brała udział w nabożeństwach. Witkowskiemu nie udało się ponownie przesłuchać funkcjonariuszy WSW, gdyż został odsunięty od sprawy.

Za drugim razem ambitnemu prokuratorowi też rzucono kłody pod nogi. W 2004 r. Witkowskiemu zakomunikowano, że musi kończyć śledztwo i ma zdążyć przed 20. rocznicą uprowadzenia księdza. Witkowski argumentował, że to niemożliwe, ma do wykonania jeszcze wiele tzw. czynności i nie chce z powodu rocznicy zaprzepaścić dotychczasowej pracy. Nic to nie dało. Śledztwo przeniesiono do prokuratury IPN w Katowicach, a potem do Warszawy.

3. Kto winny?

W prokuraturze IPN zapytałem:

„1. Na jakim etapie jest postępowanie?;

2. Czy prawdą jest, że w ramach postępowania prokuratorzy przyjęli, że ks. Jerzy Popiełuszko został zamordowany na polecenie generałów Czesława Kiszczaka, Władysława Ciastonia i Zenona Płatka?;

3. Jeśli tak, to skąd takie założenie?;

4. Jakie czynności wykonano w trakcie prowadzonego postępowania? Kogo przesłuchano i w jakim charakterze?”.

Dostałem odpowiedź od prokuratora Mieczysława Góry z… Gdańska. W lakonicznej odpowiedzi prokurator stwierdził, że:

„a) są badane okoliczności kierowania uprowadzeniem i zabójstwem ks. Jerzego Popiełuszki w październiku 1984 r.;

b) w toku śledztwa są wykonywane czynności procesowe mające na celu wyjaśnienie przedmiotu postępowania;

d) postępowanie prowadzone jest w sprawie, badane są okoliczności, które mogą potwierdzić lub zanegować istnienia osoby lub osób, które mogły kierować uprowadzeniem ks. Jerzego Popiełuszki;

c) w toku śledztwa są wykonywane czynności procesowe, obejmują one analizę materiałów archiwalnych, przesłuchiwane są osoby, w tym funkcjonariusze publiczni”.

Czyli choć śledztwo trwa ponad 20 lat, to tak naprawdę nic nie wiadomo. I raczej trudno będzie cokolwiek nowego ustalić. Osoby z kierownictwa rządu, partii, MSW i MON już nie żyją lub są w takim wieku, że nie pamiętają, kiedy ostatni raz się wypróżniały. Prokuratorzy zaś stąpają po kruchym lodzie.

4. Ktoś musi być winny

Jesienią 2008 r. w dzienniku „Polska” ukazał się artykuł „Nieznana prawda o śmierci ks. Jerzego” autorstwa Leszka Pietrzaka, byłego pracownika Urzędu Ochrony Państwa, IPN i członka Komisji Weryfikacyjnej Wojskowych Służb Informacyjnych, który na podstawie odkryć prokuratora Witkowskiego podważył dotychczasowe ustalenia na temat okoliczności śmierci Popiełuszki.

Główna teza artykułu Pietrzaka była taka, że kapłan nie zginął 19 października. Był torturowany przez kilka dni, bo esbecy chcieli go zwerbować do współpracy. W Toruniu nie skazano właściwych sprawców, a proces był reżyserowany. Pietrzak pisał: **„Ludzie Piotrowskiego torturowali księdza w starych bunkrach koło miejscowości Kazuń. Potem, nad ranem (z 19 na 20 października), półprzytomnego księdza przejęła inna grupa operacyjna (…). Na pewno kontynuowano brutalny proces werbunku, nie stroniąc od bicia i grożenia śmiercią. (…) W dniach 20–25 października ksiądz mógł przebywać na terenie jednej z sowieckich jednostek w rejonie Kazunia, gdzie znajdowała się ekspozytura KGB”.**

Podobną wersję wydarzeń przedstawili w swoich książkach Leszek Szymowski i Wojciech Sumliński, a nawet TVN w programie „Superwizjer”. O tym, że **„ustalenia procesu zabójców ks. Jerzego są w dużym stopniu nieprawdziwe”**, a inspiratorami mordu byli generałowie Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak, a nawet **„czynniki sowieckie”**, mówił szef kolegium IPN prof. Wojciech Polak.

Gdyby rzeczywiście Popiełuszko został zamordowany 25 października, to trzeba by było oczyścić ze zbrodniczych zarzutów Piotrowskiego, Chmielewskiego i Pękalę, bo zatrzymano ich 3 dni wcześniej.

Ale dla nawiedzonych politycznie domorosłych detektywów i prokuratorów z IPN nie ma rzeczy niemożliwych.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

WIEŚCI GMINNE i INNE

Coś mi strzeliło do głowy – pomyślał funkcjonariusz policji, który udał się na tzw. interwencję do jednego z okradanych mieszkań w powiecie ząbkowickim na Dolnym Śląsku. To coś to była pneumatyczna wiatrówka, w którą uzbrojony był włamywacz. Oddał z niej celny strzał prosto w skroń gliniarza – z pocisków śrutowych. Po chwili walki na gołe dłonie przestępca został obezwładniony. Jest w areszcie, a policjant w szpitalu, ale stan jego głowy jest OK. Wiatrówka trafiła do policyjnego depozytu.

Andrzej Brudnik, piekarz z Jelcza-Laskowic, po trzydziestu latach działalności kończy urzędowanie. Według jego szacunków produkowany przez niego chleb musiałby kosztować prawie 10 zł, a ciastka tyle, że nikogo nie byłoby na nie stać. Rachunkiem ekonomicznym przedsiębiorstwa zachwiała podwyżka gazu o 470 proc. i prądu o 300 proc. Plus wyższa płaca minimalna oraz Polski Ład, który sprawił, że nie można odliczyć składki zdrowotnej od podatku. Na szczęście nie samym chlebem żyje człowiek, szanowny Panie Brudnik…

Żandarmeria wojskowa w ramach śledztwa w przedmiocie oszustwa polegającego na dostarczaniu w latach 2014–2020 do Sił Zbrojnych RP wadliwego obuwia (trzewików wojskowych, wzór 933/MON i 933A/MON) zatrzymała właściciela firmy Demar z Nowego Targu. Zdaniem żołnierzy oszukano ich na 68 mln zł poprzez dostarczanie 120 tys. par butów, które zasadniczo nadawały się do chodzenia po plaży, a i to przy sprzyjającej aurze. A to wszystko dlatego, że w stolicy Podhala nazbyt żarliwie ludzie śpiewają razem z radiem: „Pójdę boso, pójdę boso! Pójdę boso, pójdę boso!”.

Przy budynku sądu w Warszawie na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Żurawiej w aucie marki BMW wybito szybę od strony pasażera. Następnie niezidentyfikowany wybijacz szyb przywłaszczył sobie znajdujący się w samochodzie plecak. To nie była jego największa korzyść. Jak utrzymuje właściciel plecaka, wewnątrz była biżuteria o wartości 100 tys. zł oraz broń palna. Wydaje nam się, że poza stronami kradzieży i policją gówno to powinno kogo obchodzić. Ale ponieważ doniosła o tym telewizja TVN, najwidoczniej musi być to bardzo ważne. Żeby nasi Czytelnicy nie czuli się niedoinformowani, napisano to, co powyżej.

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

67-letni Lech Jabłoński, niepełnosprawny emeryt z Poznania, czuje się, jak gdyby ustawa o pomocy społecznej wymierzyła mu kopniaka w krocze. Jak mu się bowiem zdawało, od urodzenia był sierotą i prawie na pewno wychował go dom dziecka. Nigdy nie znał swojej matki. Jego percepcje były jednak błędne. W końcu okazało się, że matka żyje. Ma się umiarkowanie dobrze, mieszkając w Państwowym Domu Pomocy Społecznej w Łodzi. Dyrekcja placówki wszczęła postępowanie, z którego wynikło, że na Jabłońskim ciąży obowiązek alimentacyjny, który albo będzie spełniał, albo sprawa trafi przed sąd. Jabłoński nie może się zdecydować.

Marcin W. został skazany na 2 lata bezwzględnego więzienia za napojenie psa płynem, który upalił zwierzęciu język. „Ten czyn był wyjątkowo odrażający” – powiedziała w uzasadnieniu wyroku sędzia Monika Wolanin z Sądu Rejonowego we Wrocławiu. Trzeba jej wierzyć. Pan Marcin został skazany dodatkowo na nieposiadanie psów przez 15 lat oraz 10 tys. zł nawiązki płatne w ratach na rzecz schroniska dla tych psów, co mu ich nie wolno posiadać.

Gdańska policja zatrzymała 5 kobiet powiązanych z miejscową opieką zdrowotną, które sprzedawały certyfikaty poświadczające szczepienia antycovidowe za 1,2 tys. zł sztuka. Aresztowani zostali też ci, którzy przyjmowali je bez szczepionek. Metody gnojenia antyszczepionkowców są coraz bardziej wyrafinowane.

Jeżeli wiesz, co zrobić z odpadami, które wysyłamy w kosmos wraz z astronautami, możesz zarobić 1000 dolarów. Amerykańska agencja kosmiczna znana jako NASA ogłosiła konkurs na pomysł, co zrobić z odpadami kałowymi, piankowym materiałem opakowaniowym oraz dwutlenkiem węgla, powstałymi w trakcie podróży kosmicznych. My byśmy sprzedali na Allegro.pl, potem zapakowali w kartony i wysłali In Postem. Ale to głupi pomysł. Jeżeli masz lepszy, szczegóły na witrynie internetowej Herox.com.

R.J.

Wieści pisane są na podstawie informacji z mediów regionalnych. Jeżeli coś jest z nimi nie halo – to jesteśmy takimi samymi ofiarami niezgodności jak Czytelnicy. Nie ponosimy zatem odpowiedzialności za prawdziwość doniesień lub jakikolwiek fałsz.

eprasa.pl bdf9a50777

Śnieg i mózg

Bez gaci na Giewoncie, czyli jebać GOPR.

Rys. MAGDALENA RZEJAK

Idea zdobywania górskich szczytów, szczególnie zimą w warunkach tak złych, że można nazwać je samobójczymi, stanowi dla mnie zagadkę. Produkcję endorfin można bowiem wywołać niezagrażającymi życiu aktywnościami, takimi jak jedzenie czekolady, lub mniej przyjemnymi jak bieganie, jazda na rowerku stacjonarnym czy naprzemienny, raz zimny, raz ciepły prysznic. Wybujałe ego prowadzi zazwyczaj do nieszczęść, i to niekoniecznie dotykających jego posiadacza. Skutki kombinacji głupoty ze zbyt dużą pewnością siebie możemy podziwiać co roku w zimie, śledząc newsy z gór.

Ogłoszenie zagrożenia lawinowego niekoniecznie odwodzi turystów od wychodzenia w góry. U niektórych osobników wywołuje efekt przeciwny, skutkując uaktywnieniem się tzw. genu Polaka, pchającego turystę do założenia ciepłych gaci i wyruszenia wbrew rozsądkowi na podbój górskich szczytów.

Obowiązujący w Tatrach drugi stopień

zagrożenia lawinowego

(z kilkudniową przerwą na trzeci) poskutkował śmiercią co najmniej ośmiu osób tylko styczniu. Czarna seria zaczęła się 7 stycznia na Gerlachu, gdzie od ściany odpadły 3 osoby, w tym przewodnik, który z niewiadomych przyczyn poprowadził pozostałych niebezpiecznym podejściem letnim, zbyt stromym na zimowe warunki. Dzień później, 400 m w dół do Doliny Jarząbczej spadł samotnie podróżujący 46-latek. 12 stycznia znaleziono plecak 59-latka uznanego do dziś za zaginionego.

W następnych dniach w Tatrach doszło do zejścia serii śmiertelnych lawin. Lawina nr 1 „podcięta" – czyli w górskim żargonie wywołana – została przez trzech szusujących beztrosko poza szlakiem narciarzy. Dwóm z nich udało się odkopać (jeden posiadał tzw. plecak lawinowy, czyli plecak z poduszkami powietrznymi), dla trzeciego było jednak za późno. Mimo prowadzonej przez ocalałych kolegów resuscytacji zmarł. Kolejne dwie lawiny zeszły 29 stycznia – tym razem samoistnie. Każda uśmierciła po jednej osobie – w rejonie Kasprowego Wierchu i w Dolinie Pięciu Stawów, gdzie lawina złamała 50-centymetrowy lód na Czarnym Stawie, a nieszczęsny turysta został do niego wciągnięty wraz z masami śnieżnymi.

Oprócz wypadków śmiertelnych zdarzyło się sporo takich, że „było blisko". Wiele osób przeżyło upadki z kilkuset metrów (!). O pomniejszych akcjach nikt nawet nie wspomina, bo zimą śmigłowiec ratownictwa górskiego potrafi wylatywać nawet kilkanaście razy dziennie. Do jednej takiej interwencji doszło 25 stycznia, gdy trzech turystów

utknęło na noc

na Kopie Kondrackiej. Zignorowali ostrzeżenia i wybrali się na spacerek mimo trzeciego stopnia zagrożenia lawinowego. Rozpętała się śnieżyca. Utknęli. Pierwsza ekipa ratunkowa nie zdołała pokonać ostatnich dwustu metrów – pod koniec trasy zeszła na nich niewielka lawina. Zdecydowano się więc na odwrót i użycie drona w celu dostarczenia podróżnikom pakietów grzewczych. Mimo trudnych warunków dron wykonał zadanie i kilka minut później zamarzł. Trójka turystów cudem dotrwała do rana. Akcja ratunkowa trwała 24 godziny. Wzięło w niej udział trzydziestu ratowników.

Jak twierdzą profesjonaliści z Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, turyści ignorują drugi, a nawet trzeci stopień zagrożenia lawinowego, ponieważ wydaje im się, że skoro stopni jest 5, to przy dwójce czy trójce mogą poszaleć. Stopień czwarty oznacza sytuację dramatyczną, w której dużych rozmiarów lawiny schodzą samoistnie, a wyjście w góry praktycznie równa się samobójstwu. Stopień piąty natomiast w polskich dość niskich górach nie występuje – oznacza zagrożenie siedlisk ludzkich jak w filmach katastroficznych.

Najbardziej irytujący nie jest oczywiście fakt, że mimo ostrzeżeń o

złych warunkach

w górach jakiś cymbał wleci w przepaść lub zasypie go lawina. Irytuje to, że przez głupotę naraża życie ratowników, którzy czują się w obowiązku ratowania każdego, nawet najdurniejszego człowieka.

Wszystko to za darmo, bo w Polsce za akcję ratunkową zapłaci Narodowy Fundusz Zdrowia. Koszty akcji nie są małe. Tylko godzina pracy śmigłowca to ok. 5 tys. zł, do tego transport do szpitala plus środki opatrunkowe – kolejny tysiąc złotych. W związku z bezdenną głupotą niektórych turystów pojawiały się głosy, aby to zmienić i wprowadzić zasady jak za granicą. W ośrodkach narciarskich, takich jak Francja, Włochy czy Szwajcaria, bez wykupienia dodatkowego ubezpieczenia obejmującego koszty ratownictwa nie ma co wychodzić z hotelu.

Do pomysłu kasowania za nieuzasadnione wezwanie ratowników krytycznie odnosi się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, twierdząc, że ograniczyłoby to turystykę oraz doprowadziło do problemów administracyjnych związanych z rozpatrywaniem każdego przypadku z osobna.

Od roku 2006 obowiązek pokrycia kosztów ratownictwa obowiązuje także w graniczącej z Polską Słowacji. Godzina pracy ratownika to w zależności od warunków i doświadczenia 39–79 euro. Wydaje się, że płacenie za

akcję ratunkową

z własnej kieszeni lub wykupienie obowiązkowego ubezpieczenia powinno drastycznie obniżyć liczbę wypadków, zmuszając co większych narwańców do siedzenia na dupie w hotelu i zaspokajania żądzy przygody kilkoma kubkami grzańca. Dowodem skuteczności takiego rozumowania może być przykład Polak, który dowiedziawszy się o obowiązku zapłacenia za wzywaną pomoc w Słowacji, zdołał doczłapać ze złamaną nogą ze słowackiej na polską stronę Tatr i dopiero stamtąd, za darmo, wezwać pogotowie. Polak potrafi…

Przeciętny płacący podatki obywatel mógłby oburzyć się propozycją dodatkowego ubezpieczenia górskiego, bo przecież składki na ubezpieczenie zdrowotne w Polsce są już i tak duże, a wypadek w górach to jak trafienie w totolotka. Nic bardziej mylnego. Z roku na rok rośnie liczba turystów, wypadków oraz przeznaczane na ratownictwo pieniądze. W 2019 r. było to 15,4 mln zł, w tym 36,5 mln.

Nie tylko narciarze czy alpiniści spędzają sen z powiek ratownikom górskim. Pandemiczne lockdowny poskutkowały rozwinięciem się nietypowych sportów. Widok morsów w zamarzniętym jeziorze nikogo już nie dziwi. Powstała nowa niebezpieczna hybryda –

morsowanie na sucho

– w skrócie polegające na przebywaniu w ujemnych temperaturach tylko w butach i gaciach. Wszystko byłoby w porządku, gdyby suche morsowanie – tak jak mokre – trwało kilka minut i odbywało się w bezpiecznych warunkach, np. w ogródku. Suche morsy mają to jednak gdzieś. Podbijają polskie góry, pokonując wielogodzinne szlaki bez odpowiedniego ubrania, narażając się na hipotermię. Rozsądniejsi mają w plecaku zimowe ubranie, zdarzają się jednak amatorzy idący na żywioł bez niczego, jak ich Bóg stworzył. Suche morsy szczególnie upodobały sobie Babią Górę. Widok dumnego z siebie, chodzącego pośród śniegu w lesie człowieka w samych gaciach przestaje być czymś nadzwyczajnym.

Kto nie słyszał o turyście tylko w szortach, który ukradł kurtkę ratownikom?

17 stycznia na szczyt Babiej Góry próbowała wejść 4-osobowa grupka śmiałków tylko bieliźnie. Jedna kobieta zasłabła. Przypadkowi turyści próbowali ogrzać ją własnymi ubraniami. Na pomoc wyruszyła 20-osobowa grupa ratowników. W momencie przejęcia poszkodowanej temperatura jej ciała wynosiła 25,9 stopnia.

Wracając w Tatry… 3 lutego ze względu na

olbrzymią lawinę,

która zeszła w nocy z 1 na 2 lutego, rozbijając taflę Morskiego Oka, prowadząca nad staw droga z Palenicy Beskidzkiej została zamknięta. Mówi się o wielkim szczęściu, ponieważ dzień przed lawiną mimo zakazu po lodzie chodziły stada turystów. Nic to jednak. Już nazajutrz, mimo zamknięcia szlaku, kamery zarejestrowały dwie osoby chodzące po zamarzniętym Morskim Oku.

Jan Paweł II powiedział kiedyś: **„Góry są wyrazistym symbolem wędrówki ducha powołanego, aby wznosić się z ziemi ku niebu, ku spotkaniu z Bogiem".** Jeśli tak, to spoko. Bóg ma dużo miejsca, przyjmie wielu idiotów.

MAGDALENA RZEJAK

Nie pożądaj cukierka bliźniego swego

O deseksualizacji żeńskich m&m'sów w amerykańskiej debacie publicznej.

Rosja pręży muskuły 5 minut z buta od Charkowa. Biedronka zamiast jednej ceny na półce daje ich 5 wraz z promocją „2 plus 1", lansując zerowy VAT i sprawiając, że chłop do zakupu kiełby z chrzanem musi stosować równania różniczkowe i telefon do przyjaciela. Za Oceanem tymczasem ludzie mają w dupie wojnę, ceny gazu czy inflację – wybuchł tam nowy skandal obyczajowy z kolorowym cukierkami i cały naród się podzielił zgodnie z rozkładem nienormalnym, zupełnie jak u nas: na szczepionych i nie.

Tucker Carlson, gadająca głowa stacji Fox News, wiodącego głosu prawicy u jankesów, obruszył się niemożebnie, bowiem m&m'sy, czyli glazurowane orzeszki i czekoladki, zmieniły swój wizerunek publiczny na mniej… seksowny, a do tego normalizują zaburzenia lękowe. Chłopa aż nosiło w telewizorni, a cały Twitter się obsrał.

O co biega? 20 lat temu właściciel marki, megakorporacja Mars Incorporated, stawiał na to, że gruby i powolny żółty cuks wraz z cwanym czerwonym będą odpowiednimi nośnikami sprzedaży cukierków. Dziś czasy się zmieniły i konsumenci, którzy identyfikują się z żarciem, nie chcą postrzegać siebie jako przygłupiego spaślaka lub drobnego hochsztaplera. O nie!

W 2022 r. – zgodnie z badaniami fokusowymi najwyższej próby oraz prognozami sprzedaży słodkich drażetek – ekipa antropomorficznych lentilków została podzielona na persony odzwierciedlające konsumentów czasów, w jakich przyszło nam się tułać. Oto przed Państwem aleja sław, która tak wkurwiła Carlsona.

Rys. SROCZYŃSKI

Pomarańczowy m&m's reprezentuje zaburzenia lękowe, ataki paniki i chroniczny pesymizm. Zielony to progresywna dupera, z której zdjęto wysokie obcasy i dano w nowym wizerunku trampki, bo dzisiejsza kobieta ubiera się tak, jak jej się podoba – czyli jak chłop. Brązowy m&m's jest naturalnie szefem wszystkich szefów, bowiem ma kulturowy parytet na kierowanie wszechrzeczą czekoladową. Niebieski zaś to trochę Brad Pitt z „Fight Clubu" – wszyscy chcą nim być, ale nikt nie może, bo jest, kurwa, wymyślonym animkiem do sprzedawania cukru.

Dlaczego to jest ważne i czemu tak elektryzuje ludzi? Carlson z milionami Amerykanów naświetla problem potencjalnego upadku imperium, którego erozja rozpoczyna się zwykle od pleśnienia kultury. Idee chwalące męstwo i zaradność zostają zastępowane rozpasaniem i progresem za wszelką cenę, a nikt nie może nic z tym zrobić, bo światem polityki kulturowej kieruje megakorporacyjna machina wszelkiego zła czy jakoś tak…

„M&m's nie będzie zadowolony, dopóki każda animowana postać nie będzie głęboko nieatrakcyjna i całkowicie androgyniczna. Aż do momentu, w którym nie chciałbyś wypić drinka z żadną z nich. To jest cel" – czarnowidzi Carlson.

Oburzony Twitter tysiącami postów odpowiada, że nie chodzi o żadną erozję kultury, a raczej chodzi o nic. Po prostu są to jakieś postacie służące do reklamowania słodyczy, a w ogóle to z cukierkami nie uprawia się seksu i wstydziłbyś się, człowieku myślący, że krągłe ludziki z cukru w ogóle mogą być sexy.

Problem w tym, że do tej pory zespół marketingowy stojący za m&m'sami lansował zieloną m&m'skę jako tę seksowną, erotyczną, apetyczną, do schrupania…

Ameryka upada, bo je cukierki symbolizujące napady lękowe? Czy inkluzywność jest czymś złym?

Warto zadać pytanie, czy normalizacja kulturowych tabu poprzez kolorowe, skaczące i śpiewające maskotki służy do pchania diabelskiej agendy jaszczuroludzi, czy może pomaga tym, którzy tej pomocy oczekują? Od faktu, że niemal 20 procent amerykańskich dorosłych żyje z chronicznym lękiem – i nie ma znaczenia, że boją się, że zgaśnie klimatyzacja albo że przytyją od burgera – nie uciekniemy. Szacunki bowiem mówią, że u nas występowanie lęku jest równie częste.

Kobiety w roli szefa są zjawiskiem coraz powszechniejszym i ma to uzasadnienie – zgodnie z danymi statystycznymi wykształcenie wyższe to domena właśnie kobiet, a ono ma silny związek z pozycją społeczną, forsą i władzą. Dziś już mało kto się dziwi, że panie występują z pozycji siły, choć oczywiście zawsze dobrze pokręcić z tego bekę i patrzeć, jak feministki jazgoczą wkurwione, że wcale nie doszły tam, gdzie są, przez spanie ze znudzonym i patriarchalnym członkiem – nomen omen – zarządu.

Jakimś bon motem skwitowałbym niniejszy wywód, szczególnie że temat do poważnych raczej nie należy, niemniej zamiast silić się na oryginalność, po prostu polecę każdemu, żeby przy najbliższej okazji, konsumując cukierki wszelkiego rodzaju, obracając nimi w ustach, polizali je wpierw czule i zobaczyli, czy czasem nie są cukierkoseksualni.

BARTOSZ KURCZAK

eprasa.pl bdf9a50777

Żeby było nas mniej coraz. Nas, Polaków.

Małe jest okropne

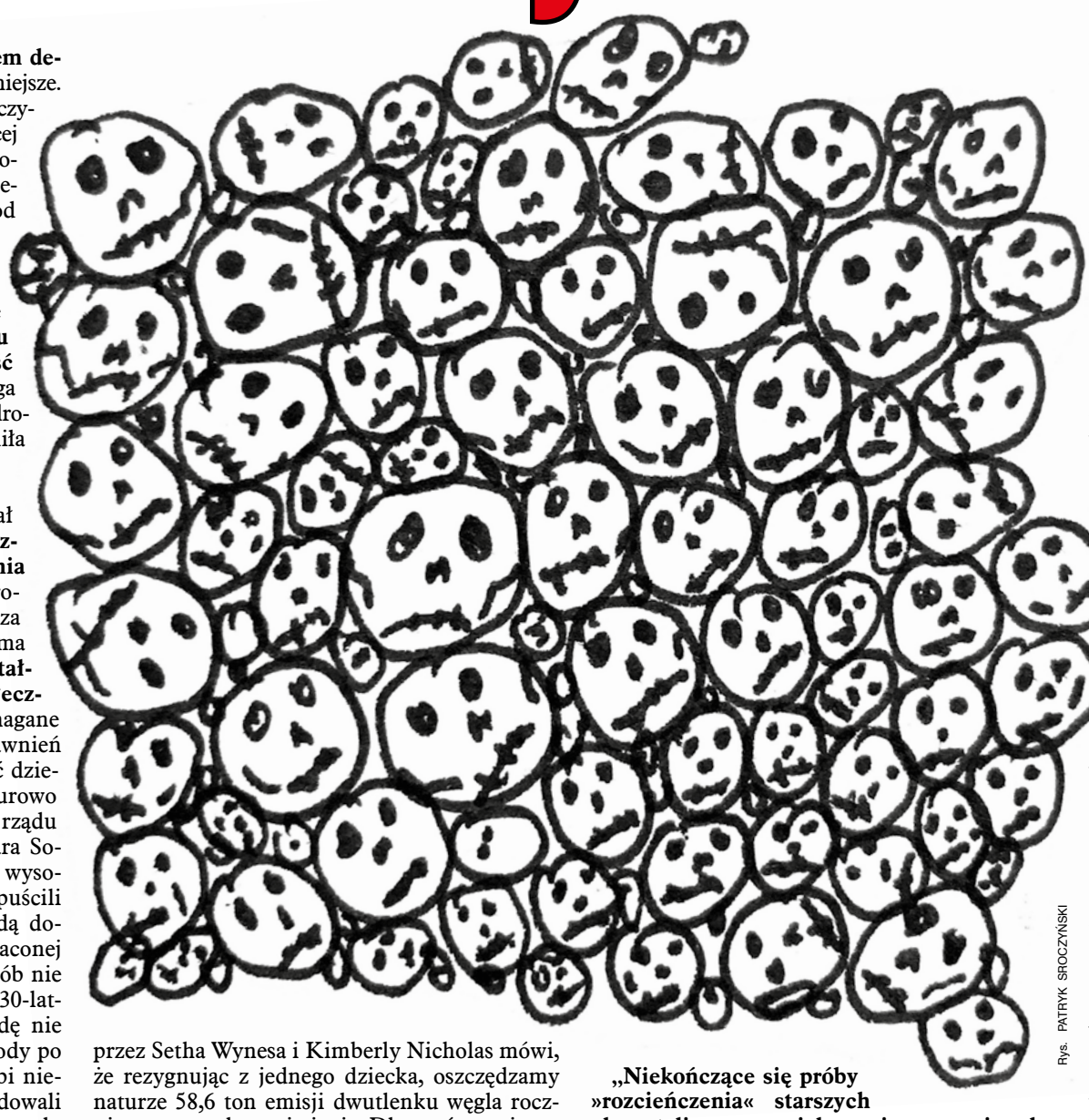

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Pisowskie pomysły na walkę z **„kryzysem demograficznym”** stają się coraz dziwaczniejsze. „500 plus” było sensowne dlatego, że przyczyniło się do zmniejszenia biedy dotykającej najmłodszych i ograniczenia wyzysku spowodowanego obecnością na rynku pracy zdesperowanej siły roboczej – jednak specjaliści od demografii od początku mówili, że dzieci z tego nie będzie. Rządowa „Strategia demograficzna 2040” obiecywała kompletnie nierealistyczne i niezrealizowane nigdzie na Zachodzie **„zbliżenie się do poziomu dzietności gwarantującego zastępowalność pokoleń”**, i do tego metodą, którą prof. Iga Magda, specjalistka od ekonomii pracy i zdrowia ze Szkoły Głównej Handlowej, określiła mianem **„ofiary złożonej z kobiet”**.

Dokument rządowy zapowiadał **„zwiększenie dzietności, nawet kosztem możliwego okresowego wycofania się z rynku pracy części kobiet”**. Zaprojektowany przez posła Wróblewskiego za 30 baniek Instytut Rodziny i Demografii ma spełnić rządową strategię poprzez **„kształtowanie adekwatnego kontekstu społeczno-kulturowego”**, dodatkowo wspomagane przyznaniem dyrektorowi instytutu uprawnień prokuratorskich, co pozwoli mu odbierać dzieci rodzicom, którzy są społecznie i kulturowo nieadekwatni. Ostatnio pełnomocniczka rządu do spraw polityki demograficznej, Barbara Socha, ogłosiła na Facebooku, że uzależni wysokość emerytury od rozrodu, jakiego dopuścili się w swoim życiu emeryci: rodzice będą dostawali kawałek składki emerytalnej płaconej przez dzieci. Co oczywiście w żaden sposób nie zachęci ludzi do rozmnażania – 20- czy 30-latkowie, decydując się na dzieci, naprawdę nie myślą o tym, jak wpłynie to na ich dochody po sześćdziesiątce – a do tego jeszcze pogłębi nierówności. Bogatsi emeryci, którzy wyhodowali sobie jedno czy dwoje dobrze doinwestowanych, wykształconych dzieci, będą mieli jeszcze większą emeryturę, podczas gdy ubodzy posiadacze rodzin wielodzietnych nadal będą klepać biedę, bo składka ich niewykształconych dzieci, pracujących za pensję minimalną, będzie także minimalna.

To wszystko jednak tylko szczegóły, które odwracają uwagę od problemu zasadniczego. Otóż czy **„kryzys demograficzny”** naprawdę jest takim nieszczęściem? Czy koniecznie trzeba z nim walczyć za wszelką cenę?

Krótka odpowiedź brzmi: nie.

„Starzenie się społeczeństwa” nie jest oczywistą katastrofą, której należy uniknąć – jest procesem, który odpowiedzialne państwa powinny przyjąć z entuzjazmem, a w każdym razie z akceptacją jako zjawisko tyleż naturalne, ile korzystne dla natury.

Podstawowy argument jest oczywiście ekologiczny: ludzi jest za dużo, zużywają tyle zasobów naturalnych, jak gdybyśmy mieli do dyspozycji półtorej Ziemi, musimy zacząć się ograniczać – zwłaszcza na Zachodzie, bo nasza rozpasana konsumpcja dewastuje planetę.

Także nasza, polska. Tzw. Dzień Długu Ekologicznego w 2021 roku przypadł w Polsce 4 maja. Dzień Długu Ekologicznego to dzień, w którym konsumujemy zasoby (surowce, glebę, wodę) możliwe do odtworzenia w danym roku i zaczynamy żyć na kreskę. W ciągu roku spożywamy zasoby 2,6 Polski. Jesteśmy na 37. miejscu na 188 klasyfikowanych krajów. To niedobrze…

Odpowiedzią jest oczywiście mniej dzieci. Słynne już badanie opublikowane w 2017 r. magazynie „Environmental Research Letters” przez Setha Wynesa i Kimberly Nicholas mówi, że rezygnując z jednego dziecka, oszczędzamy naturze 58,6 ton emisji dwutlenku węgla rocznie – przez całe swoje życie. Dla porównania rezygnacja z samochodu to 2,4 tony rocznie, przejście na weganizm 0,52 tony, a zamiana żarówek na energooszczędne 0,10 tony.

Ale to nie wszystko. Dzieci zatruwają także nasze dobre chęci. Opublikowane w kwietniu zeszłego roku badanie przeprowadzone przez troje uczonych, Jonasa Nordströma, Jasona Shogrena i Lindę Thunström, na imponującej próbie czterech tysięcy rodzin w Szwecji – gdzie świadomość ekologiczna jest bardzo wysoka – wykazało, że decyzja o posiadaniu dzieci zwiększa emisję dwutlenku węgla przez dorosłych o 25 procent. W teorii – stając się rodzicami, świadomi ludzie powinni bardziej troszczyć się o przyszłość planety, którą zostawią swoim dzieciom. W praktyce – brak czasu, zmęczenie i rozbestwienie bachorów sprawiają, że ludzie zaczynają żyć gorzej – z ekologicznego punktu widzenia. Wożenie dzieci do szkoły i na zajęcia dodatkowe wymaga samochodu, spożywanie gotowych posiłków oszczędza czas, a poza tym – piszą autorzy – **„na konsumpcję altruistycznych rodziców mogą mieć również wpływ bezpośrednie preferencje dziecka, takie jak upodobanie do czerwonego mięsa, loty do przyjaznych rodzinom kurortów itd.”**.

To jeszcze nie koniec. Walor ograniczenia rozrodu nie jest wyłącznie ekologiczny. Ma także duże znaczenie społeczne.

Jak przekonują Frank Götmark, Philip Cafaro i Jane O’Sullivan – międzynarodowa ekipa badaczy stojąca za raportem opublikowanym kilka lat temu w prestiżowym naukowym magazynie „Trends in Ecology & Evolution” – **„spadek populacji jest osiągnięciem mylnie opisywanym jako problem”**.

„Niekończące się próby »rozcieńczenia« starszych obywateli coraz większymi grupami młodzieży to swoista »piramida Ponziego«, która w niewielkim stopniu zapobiega starzeniu społeczeństwa i wyzwaniom gospodarczym, ale za to nie tylko zaostrza wszystkie problemy ekologiczne, ale i podsyca kryzysy społeczne, takie jak brak mieszkań i przeciążenie usług publicznych” – piszą uczeni, przypominając, że na emerytury pokolenia wyhodowanego do utrzymywania dzisiejszych emerytów też ktoś będzie musiał pracować. Co oznacza, że ludzi będzie potrzeba coraz więcej i więcej.

Wbrew przesądom – starzejąca się populacja nie musi prowadzić do niedoborów siły roboczej, gdyż zapotrzebowanie na pracę fizyczną, której seniorzy nie są w stanie wykonywać, maleje wraz z galopującą automatyzacją. Mało tego: dostęp do wielkiego zasobu niewykwalifikowanej siły roboczej – będący naturalnym efektem wysokiej dzietności – tę automatyzację, a zatem postęp, spowalnia. Bo

po co kapitaliści mają inwestować w nowoczesne urządzenia, skoro taniej wychodzi marnie opłacana praca ludzka.

Mniejsza podaż siły roboczej oznacza wzrost pensji i bogactwa per capita. A to oprócz oczywistych korzyści wynikających ze zmniejszenia zaludnienia – mniejszego zatłoczenia miast, mniejszego stresu w zaludnionych obszarach, krótszego czasu dojazdu do pracy w związku z brakiem korków, co pociąga za sobą także zmniejszenie zanieczyszczeń, lepszą ochronę terenów zielonych – oznacza ogólną poprawę jakości życia. Krótko mówiąc: każdy, ale przede wszystkim społeczeństwa Zachodu, nurzające się w rozpasanej konsumpcji jak świnia w gnojówce, powinny dążyć do tego, żeby ludzi było mniej.

Zamiast tego władza – która opiera się również na głosach osób starszych – pogłębia ageistowskie stereotypy, bezmyślnie powtarzając opowieść o tym, **„ilu emerytów musi utrzymywać jeden pracujący”**.

Seniorzy nie są pasożytami żerującymi na zdrowej tkance pracowitego narodu. Opublikowany jesienią raport brytyjskiego think thanku „Population Matters” zwraca uwagę, jak kompletnie pomijana w dyskusjach na temat systemu emerytalnego jest ekonomiczna wartość osób starszych. Organizacja Age UK oblicza, że w sezonie 2016/2017 (najnowsze dostępne szacunki) osoby w wieku 65 plus wniosły do brytyjskiej gospodarki ok. 160 mld funtów poprzez płatną pracę, wolontariat i opiekę nad wnukami, podczas gdy tegoroczny budżet emerytalny to 169 mld. Inaczej mówiąc – emeryci kosztują państwo bardzo mało. W odróżnieniu od dzieci, które są zupełnie nieproduktywne – co sprawia, że wrzucanie ich do jednego worka z hasłem „współczynnik obciążenia demograficznego” jest niesprawiedliwe i buduje szkodliwe stereotypy.

W Polsce charakter produktywności emerytów jest najpewniej inny niż w Wielkiej Brytanii – dziadkowie nie mieszkają w domach spokojnej starości, tylko we własnych albo wraz z dziećmi i częściej wykorzystywani są jako opieka do wnuków, a rzadziej angażują się w wolontariat. Tak czy inaczej – założenie, że są bezproduktywni, jest nieprawdziwe i uwłaczające.

To założenie – że starzy nadają się na śmietnik – przekłada się w Polsce także na osoby w wieku produkcyjnym, acz wcześniej urodzone. Państwowy Polski Instytut Ekonomiczny opublikował właśnie raport zatytułowany „Ageizm w Polsce – podsumowanie eksperymentalnego badania terenowego”, który wskazuje na to, że nawet ci pracownicy, którzy zbliżają się dopiero do emerytury i chcieliby pracować, nie mają gdzie. Badacze z PIE wysłali życiorysy 1260 fikcyjnych kandydatów w odpowiedzi na 473 ogłoszeń o pracę. Kandydaci mieli porównywalne kwalifikacje, różnili się natomiast wiekiem: mieli 28 albo 52 lata. Młodsi byli zapraszani na rozmowę rekrutacyjną średnio 2 razy częściej niż starsi; w Warszawie aż 4 razy.

Pomysł zaganiania ludzi do mnogiego rozrodu jest podwójnie prawicowy. Z jednej strony utrwala tradycyjny podział ról społecznych: wiąże matki w domu, utrudnia im edukację, karierę, ścieżkę awansu, uzależnia je od partnerów… Mówiąc słowami ministra edukacji: gwarantuje, że kobieta **„robi to, do czego została przez pana Boga powołana”**. Z drugiej zaś – zaspokaja ów XIX-wieczny prawicowy kompleks, który siłę narodu każe liczyć w pogłowiu. Inaczej mówiąc: po formacji Kaczyńskiego niczego innego nie należy się spodziewać.

Ale że lewica nie przedstawia konkurencyjnej narracji, to doprawdy wielka szkoda.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl bdf9a50777

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Jeżeli sednem **polskiej tożsamości** jest rodzina, miłość Ojczyzny i **wiara katolicka,** to dla zwycięstwa Rewolucji właśnie one muszą zostać usunięte z ludzkich głów i serc. I to się robi. I to się dzieje. A najskuteczniej działa na tym polu sztuka, choć chcąc użyć adekwatnego słowa, powinniśmy mówić: **antysztuka.** Ta zaś jest dzisiaj obecna w ofercie niemal każdej publicznej instytucji artystycznej – więcej, jest tych instytucji wykładnią programową. A co najbardziej charakteryzuje antysztukę oficjalnie usankcjonowaną opieką władz państwowych czy samorządowych, na co mamy setne przykłady? **Antyklerykalizm.***

Tomasz A. Żak, PCh24.pl, 6 lutego

■ *Widać, że sprawa COVID-19 już w dużej mierze nas podzieliła jako naród, jako społeczeństwo i trzeba uważać. Może komuś z zewnątrz zależy na skłóceniu nas, na odwróceniu uwagi od bardzo ważnych spraw, chociażby od bezpieczeństwa. Widzimy, co się dzieje na granicy polsko-białoruskiej. Jest zagrożony pokój i jest bardzo wiele różnych spraw. Widzimy, jak jest prowadzony **neomarksizm, gender,** że jest demoralizacja dzieci i młodzieży. Może chodzi o odwrócenie uwagi od tych problemów.*

o. Tadeusz Rydzyk, Radio Maryja, 1 lutego

■ *Kreatorzy mody, ekolodzy i homoseksualiści, sportowcy, dziennikarze i aktorzy porno, aktywiści społeczni, politycy, a nawet prostytutki – jednym słowem: **celebryci.** Ale to nie oni cokolwiek celebrują – to odbiorca, target ich popularności, ma celebrować ich. Mamy więc nic innego jak powszechne **ureligijnienie rozrywki.** Wyznanie wiary współczesnego konsumenta antysztuki jest krótkie: wierzę w to, bo w to samo wierzy moja gwiazda, mój idol, celebryta. A jeżeli tak, to nie mogę już wierzyć w to, co Kościół do wierzenia podaje. I naśladują swych idoli, podążając ślepo za nimi.*

dalej Żak

■ *Obecnie ludzie pokroju **Jerzego Urbana** przeżywają swoją nową **medialną młodość.** Człowiek, który szczuł na Kościół katolicki, tworzył wielką falę nienawiści w czasach komuny, dziś triumfuje. Dziś jego media znowu są popularne wśród młodzieży, w czasach demokracji, a nie komunizmu. Jednak mało kto wspomina, kim jest Jerzy Urban i co zrobił w przeszłości. Wielka fala nienawiści w stosunku do Kościoła katolickiego wynika z tego, że obecnie wiele młodych ludzi wzoruje się na postaciach takich jak Jerzy Urban czy Bogusław Linda.*

Dariusz Matecki, prezes Fundacji Ośrodek Monitorowania Antypolonizmu, Radio Maryja, 31 stycznia

■ ***Zgromadzenie Synodalne w Niemczech** zaproponowało zniesienie obowiązku celibatu, dopuszczenie kobiet do diakonatu i kapłaństwa w ogóle, akceptację antykoncepcji i homoseksualizmu, udział świeckich w wyborze biskupów. Niemcy zamierzają przedłożyć te postulaty papieżowi i oczekują, że Franciszek zmieni nauczanie Kościoła. **Pełzająca schizma** w Niemczech przepełzła swoje i teraz idzie rześkim marszem, podkutymi buciorami wybijając rytm pogardy dla nauczania Chrystusa. To marsz sekty, która nie ma nic wspólnego z Kościołem katolickim. Droga synodalna w Niemczech głosi poglądy sprzeczne z magisterium Kościoła, ale przede wszystkim z wolą samego Jezusa.*

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, PCh24.pl, 5 lutego

■ ***Lewica** traktuje **seksualność** jako istotę życia człowieka. Ta redukcja człowieka – forsowana przez lewicę – sprowadza się do tego, że człowiek jest istotą seksualną, ale niepłodną – tak można by to określić. Mamy więc klasyczne oddzielenie człowieka od **płodności.** Jeszcze inaczej mówiąc – wychowujemy człowieka dla seksu, a nie dla życia innych i nie dla przekazywania życia – daru Boga, a więc przedłużenia gatunku.*

dr Andrzej Mazan, pedagog, „Nasz Dziennik", 7 stycznia

■ *Niektóre samorządy uparły się robić politykę rewolucyjną, to znaczy otwierać szkoły dla różnych ideologów czy ideologii ukrywających się pod mianem naukowych podejść, niemających nic wspólnego z nauką. Za ideologią idą również pieniądze. Tzw. **rozbudzanie seksualności dziecięcej** czy wśród młodzieży to – mówiąc zupełnie wprost – brutalna ingerencja w bardzo delikatną sferę, która powinna być przede wszystkim domeną rodziny. (…) Rozbudzanie tej sfery generuje dla niektórych ludzi dochody. **Przemyt tzw. środków antykoncepcyjnych i wczesnoporonnych** czy tzw. aborcja to są grube miliardy.*

prof. Grzegorz Kucharczyk, Radio Maryja, 7 lutego

Wybrał **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Cząstki elementarne

My w nich Bobolą, oni w nas Rasputinem.

Jakiś czas temu przeczytałam, że w zbiorach jednego z rosyjskich muzeów znajduje się zatopiony w formalinie korzeń Rasputina. I faktycznie: 28,5 cm mnisiego chuja w słoiku (a właściwie w słoju, bo nie pierdział w mąkę z takim gabarytem) cieszy oczy zwiedzających muzeum erotyki w Sankt Petersburgu. Właściciel muzeum, urolog i seksuolog Igor Kniazkin, kupił przyrodzenie za 8 tys. dolarów w pewnym francuskim antykwariacie razem z dokumentami spisanymi przez Rasputina. Eksponat opatrzony został informacją: **„Penis Rasputina zamordowanego w Sankt Petersburgu w nocy z 16 na 17 grudnia 1916 r., 28,5 cm"** i jest wśród zwiedzających absolutnym szlagierem.

Co łączy poczerniałą witkę Rasputina ze szczątkami świętych i błogosławionych polskiego Kościoła katolickiego? Fragmenty ciał niegdysiejszych celebrytów są wciąż pożądanym towarem.

• • •

Możliwe, że to papa Jan Paweł II, który hurtem wynosił świętych na ołtarze, przyczynił się do mody na te ekscentryczne bibeloty. Jeszcze większe zainteresowanie relikwiami pojawiło się, gdy papież Polak kopnął w kalendarz. Relikwie kremówkożercy z Wadowic podpierdalano kilkukrotnie. Ostatni raz w styczniu: z bazyliki Najświętszego Serca Jezusa w Paray-le-Monial w zachodniej Francji zniknął kawałek tkaniny poplamiony krwią papieża w czasie zamachu na jego życie w 1981 r. Największą obawą proboszcza z burgundzkiej parafii było to, że relikwia może być wykorzystana do praktyk okultystycznych, a nawet satanistycznych. Lecz najprawdopodobniej cenna łata trafiła w ręce kolekcjonera…

Tylko w Polsce krople krwi zmarłego papieża Jana Pawła II przechowywane są w co najmniej stu parafiach, a niektóre kościoły mogą poszczycić się nawet jego włosami.

Jedynie nieliczni przypominają, że jeszcze kilka lat temu kardynał Dziwisz zapewniał, iż o takim rozdawnictwie nie będzie mowy. Ale biznes to biznes.

• • •

Fani nekromancji i horrorów mogą być zadowoleni. Najbardziej pożądane relikwie pierwszego stopnia, czyli wcześniej wspomniane fragmenty tkanek i kośćca, nie są pozyskiwane poprzez patroszenie i fragmentację stygnącego nieboszczyka.

Fragmenty doczesnych szczątków św. Faustyny w postaci wypreparowanych kosteczek od czasu beatyfikacji w 2000 r. rozchodziły się jak ciepłe buły.

Drobne kosteczki z palców rąk, stóp i kręgosłupa umyto w kilku kąpielach ze spirytusu, zabezpieczono przed wilgocią i pleśnią, owinięto w jedwab, po czym zamknięto w szkatule.

Ograniczona liczba relikwii najpopularniejszych świętych zmusza organ przyznający je do rzetelnego rozpatrywania próśb. Organem jest kustosz ustanowiony dla każdego świętego indywidualnie. Na kustoszy powołuje się proboszczów parafii, gdzie spoczywają doczesne szczątki, lub przedstawicieli zakonu, do którego należał. Gdy prośba o święty kawałek zostaje rozpatrzona pozytywnie, kustosz wyjmuje kosteczkę

Rys. TOMASZ WIATER

i kruszy nożem na drobniejsze części. Koronkowa robota i pewnie nieprzyjemna, jeśli coś chrupnie, ale czego się nie robi dla ludzi zagrożonych piekłem?

I tak z sześciuset kawałków Faustynianych gnatów rocznie trzeba było zejść do stu. Bo gdyby rozpatrzyć wszystkie podania pozytywnie, świętej mogłoby zabraknąć, a podłożyć resztek z kurczaka po obiedzie zwyczajnie nie wypada.

• • •

Zawsze można się zadowolić relikwiami drugiego stopnia. Trochę to pachnie wylizywaniem talerza po kimś, kto zżarł danie główne, ale trudno.

Co mamy do wyboru? Skrawek habitu, w którym święta spoczywała do czasu ekshumacji, albo ścinek płótna, na którym dzieli się kosteczki (zalaminowany w obrazku).

Brać, nie wybrzydzać, nie spać, zwiedzać, śmiać się!

• • •

Faustyna wezwała też św. Maksymiliana Kolbego w postaci włosów z jego brody. Relikwie pojawiły się dosyć niedawno. Przed beatyfikacją w 1971 r. Akurcjusz Pruszak, współbrat z Niepokalanowa, wyjawił sekret gwardianowi. Otóż przed wywiezieniem Kolbego do Auschwitz ogolił go, a ponieważ żywił przekonanie, że brat ma potencjał na świętego, zawinął pukiel włosów i schował.

Zwłoki świętego Andrzeja Boboli, o którym było głośno w ostatnim czasie za sprawą należącej do Prawa i Sprawiedliwości posłanki Marii Kurowskiej, uległy dokładnej mumifikacji. Wielokrotnie przewożone z miejsca na miejsce, ostatecznie spoczęły w zarządzanej przez jezuitów Parafii Rzymskokatolickiej św. Andrzeja Boboli przy Rakowieckiej w Warszawie.

Mniej więcej w okresie powstania Chmielnickiego Bobola trafił w ręce Kozaków. Ci kazali wyrzec mu się wiary, zadając mu tortury: wyrywając paznokcie i język, ciągnąc za końmi, przypalając ogniem i wycinając skórę. Niestety nie wiadomo, czy Kozacy zachowali trofea. Szkoda…

Skoro znajdujące się w sejmowej kaplicy relikwie Boboli uspokoiły sytuację na polsko-białoruskiej granicy, z resztą kompletu można by zdziałać cuda.

• • •

Co ciekawego znajdziemy jeszcze w polskich parafiach?

W archikatedrze gnieźnieńskiej można pomodlić się do głowy św. Wojciecha. Według zapewnień sukienkowych pomaga to ofiarom terroryzmu.

Sanktuarium św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Chwałowicach oferuje kontemplację przy szczątkach skór błogosławionych Ludwika i Zeli Martins (rodzice św. Teresy). Odwiedziny w przybytku zaleca się wszystkim poszkodowanym przez Polski Ład. Modły przy skórach wspomagają pracodawców, żeby nie musieli zwalniać pracowników lub płacić im niskich pensji.

Przy okazji warto zerknąć na kość z głowy patronki sanktuarium. Odmówienie kilku zdrowasiek pomaga zbrodniarzom, mordercom, dzieciobójczyniom, leniom, a w gratisie – coś dla członków Ordo Iuris – pomaga odczuwać namiętne pocałunki znudzonym małżonkom.

Otarta skórka św. Joanny Berettty Molli, przebywająca w sanktuarium św. Józefa w Kaliszu wzbogaca zubożałe samotne matki i pomaga w ruchaniu się małżonkom.

Cudze chwalicie, swego nie znacie. Może i nie mamy chuja w formalinie, ale u nas też nie wieje nudą.

IDALIA DUBICKA

ETYKA BEZBOŻNA

Czy ksiądz może być patriotą?

Ksiądz przysięga posłuszeństwo biskupowi. Biskup – papieżowi, który jest głową obcego państwa. Państwa, z którym mamy stosunku skrajnie niesymetryczne, bo polegające na specjalnych przywilejach Stolicy Apostolskiej na terenie Polski oraz na zobowiązaniach finansowych ze strony RP wobec Kościoła. Do II wojny światowej dostrzegano konflikt lojalności biskupów, wobec czego byli oni zobowiązani do składania przysięgi lojalności wobec Polski. Była to fikcja, bo wiadomo, że dla biskupa pierwszeństwo ma zawsze „święty" Kościół, ale przynajmniej dbano o pozory. Dziś nie ma nawet tego. Bo przecież rozumie się samo przez się, że „wszyscy jesteśmy patriotami". Czyżby?

W szkole uczą nas, że patriotyzm jest obowiązkiem, niejasno dając do zrozumienia, że polega to głównie na zabijaniu wrogów na wojnie albo w jakimś powstaniu. Ale jak już szkołę skończymy, to okazuje się, że chodzi też o głosowanie, jak należy, bo politycy gonią nas na wybory, mówiąc, że jest to nasz patriotyczny obowiązek. W domyśle: wykonamy go lepiej, głosując na prawdziwych patriotów, czyli właśnie tych, którzy przypominają nam o naszych patriotycznych obowiązkach.

Jednak gdy zapytać kogoś, co to jest patriotyzm, to najczęściej odpowie, że polega on na miłości ojczyzny, czyli na pewnym uczuciu. No jak to w końcu jest? Obowiązek czy miłość? Bo jedno z drugim nie bardzo się składa.

Z obowiązku robimy wiele rzeczy, których wcale nie kochamy, a z kolei miłość z natury rzeczy nie może być obowiązkiem, gdyż nikogo do niej nie można zmusić ani samemu na sobie jej wymóc.

Z pewnością często zdarza się niegodny szantaż emocjonalny i moralny, polegający na wymuszaniu na kimś (np. na uczniach) jakichś deklaracji czci dla państwa i jego symboli, wbrew uczuciom i nastrojowi, w jakim w danej chwili znajduje się ta osoba. Co więcej, zdarza się i tak, że ekipa sprawująca władzę obficie obstawia się symbolami narodowymi, które w oczach obywateli stają się równoznaczne z symbolami władzy. Dzięki temu, oddając cześć ojczyźnie i jej symbolom, obywatele czczą majestat państwa i władzy – tej konkretnej władzy, sprawowanej przez tę, a nie inną partię i osoby. Właśnie dlatego pewien stopień nacjonalizmu odpowiada właściwie każdej władzy. Każda przynajmniej od święta owija się flagą i wdrapuje się na tron.

Być może należałoby to wszystko znosić z pokorą, gdyby nie zaszyty w państwowym, nacjonalistycznym patriotyzmie szowinizm, czyli narcystyczne samouwielbienie, poczucie wyższości i skrywana, acz niewątpliwa pogarda wobec niektórych przynajmniej sąsiadów i w ogóle „nie naszych". Nazywanie takiej postawy patriotyzmem z pewnością jest nadużyciem. Gdyby zbiorowy narcyzm i bezkrytyczne samouwielbienie były czymś godnym pochwały, to trzeba by taki patriotyzm zarezerwować dla jednej tylko nacji. W przeciwnym razie sąsiadujące ze sobą „patriotyczne" narody nieuchronnie musiałyby pokłócić się o miedzę. Przecież prawdziwi patrioci żądają dla swoich ojczyzn jak największego terytorium, prawda? A to już gotowy przepis na wojnę.

Szowinizm podszywa się pod patriotyzm, lecz jest w tym niekonsekwentny. Mówi o jakiejś mitycznej „ojczyźnie", lecz łączy ją z państwem wyłącznie wtedy, gdy rządzą nim nacjonaliści. Tego samego państwa, jeśli rządzone jest przez demokratów, wprost nienawidzi.

Na tym nie koniec niekonsekwencji. Otóż właśnie w krajach zdominowanych przez Kościół katolicki naczelne hasła nacjonalizmu, a więc niepodległość i suwerenność, całkowicie załamują się, a wręcz przeistaczają we własne przeciwieństwo, gdy chodzi o relację z państwem, które nazywa się Stolica Apostolska. Wystarczy, że reprezentanci owego państwa operującego, by tak rzec, globalnie, przebierać się będą w nacjonalistyczne fatałaszki, a więc zgrywać się (wbrew swej kosmopolitycznej naturze i ambicjom) na lokalność, a już sojusz „patriotów" z jako żywo obcą władzą kościelną gotowy!

Nie mogę wyjść z podziwu dla wszelkiej maści prawicy, że jest tak zakłamana, by nie widzieć tu sprzeczności. W krajach protestanckich oczywiste jest to, że jeśli uznaje się chrześcijaństwo za tradycję danego narodu, to i Kościół powinien być narodowy, a nie sterowany z Rzymu. Tymczasem nacjonaliści katoliccy są tak zapiekli w swej mitomanii, iż dali sobie wmówić, że ich społeczność, np. polska, jest nadzwyczajnie wyróżniona w „planie bożym" i „dziejach zbawienia", przez co to raczej ów powszechny z natury Kościół jest ześrodkowany na tym jednym kraju (np. Polsce), niż ów kraj jest ledwie jednym z wielu kontrolowanych przez obcą potęgę, ze stolicą w Watykanie. I tak to szowiniści łapią się we własne sidła. Szkoda tylko, że my wszyscy musimy w tych sidłach tkwić razem z nimi. □

JAN HARTMAN

eprasa.pl bdf9a50777

Święty supeł małżeński

Zakaz rozwodów leży w żywotnym interesie prawicowców.

Przy okazji afery obyczajowej w Ordo Iuris wypomniano członkom tej organizacji oraz jej sympatykom, że chętnie by zakazali rozwodów, a sami pod tym względem mają sporo na sumieniu. Teraz obrońcy nierozerwalności małżeństwa subtelnie się z zamordystycznych pomysłów wycofują. Twierdzą, że w sumie to nie obchodzi ich, co kto robi prywatnie. **„Ja w ogóle nie chcę wchodzić w czyjeś sprawy osobiste”** – mówił w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski. Oczywiście chodzi o sprawy prywatne jego kolegów, nawet jeśli są to byli koledzy, jak Tymoteusz Zych. Kwaśniewski podkreśla: **„Ludzie znajdują się w różnych sytuacjach i sprawdzianem naszej dojrzałości jest to, czy potrafimy pozostać wierni przysięgom, które składaliśmy, i zobowiązaniom, które poczyniliśmy wobec współmałżonka, dzieci. Jeśli chcemy takie postawy promować, to sami od siebie musimy ich wymagać”.** Zych wypadł za burtę Ordo Iuris i próbuje sił, tworząc nowe stowarzyszenie z – jak obyczaj nakazuje – łacińską nazwą. Współbohaterka afery w Ordo Iuris Karolina Pawłowska podkreśla, że ona nigdy nie opowiadała się za zakazem rozwodów, nie ma więc w ogóle o czym mówić. Klasyka: są wyjątkowe sytuacje wyjątkowych ludzi.

Aborcja przeprowadzona u żony antyaborcyjnego działacza to przypadek ekstraordynaryjny i nie należy do niego przykładać miary, którą on sam przykłada do innych. Płody z wadami genetycznymi są dla pospólstwa, dla aktywistów jest aktywizm. Działacz *prolife* nie może tracić czasu na zajmowanie się chorym dzieckiem, bo ma świat do zbawienia. Jest tylu ludzi nieświadomych, że najpiękniejsze, co może człowieka spotkać, to wychowanie bezkontaktowego bąbelka, którego całe życie jest powolną, bolesną agonią, że on nie może samemu się tej rozkoszy oddawać. To byłoby samolubne. Rozwód Kurskiego czy działacza Ordo Iuris to nie to samo, co gdy żona spierdala od bijącego męża. Ona wykazuje się słabością charakteru oraz nieumiejętnością wybaczenia oprawcy, oni zaś zwyczajnie znaleźli się z nieodpowiednią osobą przy nieodpowiednim ołtarzu i po prostu naprawiają to niedopatrzenie. Fundamentaliści katoliccy okazują się hipokrytami, odc. 2137. Nie warto się nad tym rozwodzić…

W wersji dla plebsu zakaz lub utrudnienie rozwodu przewlekłymi formalnościami to działanie na rzecz dobra dzieci. Zdaniem analityków Ordo Iuris rozstanie rodziców to dla latorośli trauma z niczym innym nieporównywalna. Nie dość, że poprzez media i kulturę atakowani są marksizmem i genderem, to jeszcze w domu licho z tradycyjnymi wartościami. Małżeństw nie przybywa, a z powodu rozwodów ubywa. Taki stan rzeczy to prosta droga do deprawacji małolatów i ekspresowa wycieczka w przepaść. Lepiej niech już się wychowują w rodzinie nienawidzącej się, ale heteroseksualnej i pełnej. Rozwód rodziców to dla dziecka przepustka do patologii. Wychowujący się bez jednego rodzica nastolatek ma o wiele większe szanse zostać alkoholikiem, narkomanem albo innym nałogowcem niż ten, który ma szczęście słuchać codziennych kłótni starych i wyzywania się od najgorszych. **„Rozwód rodziców sprzyja popadnięciu dziecka w zachowania patologiczne, w alkoholizm, w narkomanię, w izolację społeczną. To jest coś wyjątkowo szkodliwego z punktu widzenia tych dzieci”** – poucza Nikodem Bernaciak z Ordo Iuris. I przypomina, że rozwody w Polsce to wymysł komuchów, konkretnie Bieruta, który wprowadził tę rozbijającą naród instytucję do polskiego prawa w 1945 r. Ale w tym samym dekrecie ten sam Bierut wprowadził posiedzenie pojednawcze, bo **„nawet komunistyczne państwo zauważało, że rodzina jest kluczową wartością dla przetrwania społeczeństwa”.**

Rozwody powodują koszty społeczne, ale i ekonomiczne. Z ekspertyz i analiz przygotowanych przez specjalistów z Ordo Iuris wynika, że budżet państwa cierpi na rozwodach. Rocznie tracimy na nich nawet 6 mld zł – policzyli eksperci od rozwodów. Z portfeli różnych ministerstw – czyli z naszych, Polaków, pieniędzy – wyfruwają grube bańki, bo parom nie w smak jest wspólne życie. Bogu przysięgali, a cenę za krzywoprzysięstwo zrzucają na podatników. Taki samotny rodzic bezczelnie liczy jeszcze na pomoc państwa w postaci zasiłków – empatycznie podkreślają prawnicy z prestiżowej organizacji, docenianej grantami i datkami możnych

Rysunki STAŚ

i ofiarnych sponsorów z całego świata. Rozwody generują koszty, bo trzeba budować placówki opiekuńcze, wypłacać świadczenia, a i same rozprawy rozwodowe nie są za friko, na czym traci Ministerstwo Sprawiedliwości. Dlatego – podkreślają ordojuryści – **„należy szukać rozwiązań, które sprzyjają trwałości małżeństw i rodzin, dzietności, wysokiej jakości socjalizacji i spójności społecznej”.** Powszechnie wiadomo, że rząd Zjednoczonej Prawicy wydatkami zarządza nadzwyczaj racjonalnie i nie ma w budżecie miejsca na czcze wywalanie forsy, np. na wybory kopertowe czy tym bardziej rozwody.

Wszystko, co powyżej, to wersja propagandowa. Oczywiste, że konserwatyści tylko w godzinach pracy mają na ustach hasła o wierności i porządnym prowadzeniu się, a w czasie wolnym zupełnie inne rzeczy im przez usta przechodzą. W pożądanym przez prawicowców zakazie rozwodów może jednak chodzić o pieniądze, ale wcale nie te wspólne, tylko jak najbardziej prywatne.

No bo spójrzmy na prominentów pisowskich, tych z dostępem do kasy i wiedzy, jak ją zdobyć. Profilaktycznie przepisują oni majątki na żony. Są na garnuszku połowic, które formalnie posiadają dużą część materialnych zdobyczy życiowych partnerów. Nigdy nie wiadomo, jakie czasy nadejdą. Nie jest pewne, kto i jak skrupulatnie będzie w przyszłości w ich oświadczeniach majątkowych grzebał.

Można się spodziewać, że nadejdzie czas rozliczeń. Z tej perspektywy przepi sanie dóbr na małżonkę jest ruchem jak najbardziej racjonalnym i prorodzinnym.

Zabezpieczenie spokojnego bytu w dobrobycie należy do tradycyjnych obowiązków konserwatywnego męża żonie i ojca dzieciom.

Wszystko pięknie, ale co, gdy jednej czy drugiej żonie zaszaleją hormony, a w brzuchu zalęgną się motyle? W dodatku zapała uczuciem do gołodupca z jedną parą spodni? W głowie zaświta myśl o rozwodzie, a tu majątek w jej rękach. Albo w drugą stronę: nachapany i ustawiony, ale znudzony żoną narodowy czempion porucha na boku jakąś młódkę, a stara się dowie i kopnie w tłustą dupę. Nie po to taki cwaniak całe życie kombinował, stając się po drodze moralnym bankrutem, żeby zbankrutować realnie. Zakaz rozwodów stanowiłby dla niego polisę. A że nawołując do takiego zakazu, można sobie wytrzeć gębę Bogiem, ojczyzną i dobrem dzieci, to w niczym akurat nie przeszkadza, bo polscy prawicowcy używają tych pojęć jak serwetek.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Ks. Daniel Galus, prowadzący pustelnię w Czatachowie pod Częstochową, decyzją watykańskiej Kongregacji ds. Duchowieństwa został skierowany na półroczne modlitewne odosobnienie, nie może też głosić kazań i odprawiać mszy dla więcej niż jednej osoby. Galus przełożonym od dawna brykał: krytykował rząd i biskupów za wprowadzanie obostrzeń sanitarnych, ale przede wszystkim założył Wspólnotę Miłość i Miłosierdzie Jezusa, w której zgromadził fanatycznych wyznawców. Nawracał, uzdrawiał, wypędzał Szatana. Jak wiadomo, Kościół najbardziej nie lubi wewnętrznej konkurencji.

✚ Ksiądz z parafii w Pińczowie potrącił na pasach kobietę, zbiegł z miejsca wypadku, nie udzielił pomocy poszkodowanej. Dostał za to wyrok w zawiasach: rok pudła w zawieszeniu na 3 lata, 2 tys. zł grzywny oraz 10 tys. zł odszkodowania dla pokrzywdzonej. Stracił też prawo jazdy. Wyrok jest łagodny, co oburza parafian. Oburza ich także to, że ksiądz nadal pełni posługę kapelana straży pożarnej i więziennictwa na terenie parafii. Do białej gorączki doprowadziło też miejscowych oświadczenie księdza, że „nie czuje się aż tak winny”, i zapowiedź złożenia apelacji, aby dostać łagodniejszy wyrok.

✚ Pełniący posługę w parafii św. Zygmunta Króla w Łosicach ks. Sebastian M. używał sobie na młodej parafiance, zmuszając ją do ruchanka. Ta się poskarżyła diecezji, diecezja zgłosiła prokuraturze, a siedlecka prokuratura okręgowa aresztowała duchownego na 3 miesiące. A taki był ładny ten ksiądz i miły, i wszyscy go lubili…

✚ Ks. Łukasz S. z bractwa Świętego Piusa X w Krakowie pośredniczył między sprzedawcami fałszywych paszportów covidowych a osobami niezaszczepionymi i brał za to od 100 do 200 zł. Duchowny na wniosek prokuratury w połowie stycznia na 3 miesiące trafił do aresztu. Sąd Okręgowy w Poznaniu uchylił jednak areszt i wypuścił duchownego na wolność, bo nie dopatrzył się w jego czynie „społecznej szkodliwości”. Zdaniem sędziego certyfikaty szczepienia przeciwko COVID-19 „mają znikome znaczenie z racji pasywnej postawy władz państwowych”. Sąd ma niewątpliwie rację, ale sygnał dla społeczeństwa jest wyjątkowo niefortunny.

✚ Dr Paweł Grzesiowski – immunolog, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej ds. walki z COVID-19 – zauważył, że wiele osób w dobie pandemii ignoruje kilka z najważniejszych przykazań bożych naraz: będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego, czcij ojca swego i matkę swoją, nie zabijaj. „Dominuje Bóg dał, Bóg wziął” – stwierdził lekarz. Katolicy, którzy się nie szczepią, smażyliby się w katolickim piekle, gdyby takie było.

✚ Ks. Jarosław Ferenc, proboszcz parafii pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Dobrzykowie, wystąpił z przesłaniem: „Dzisiaj możemy zaobserwować działalność wielu wolnościowców, którzy podejmują heroiczną, nonkonformistyczną walkę o wolność przeciw dyktaturze covidiańskiej (…). Wiedzą, że tematy dystansu, maseczek, izolacji, testów, szczepionek i paszportów covidowych są tylko preludium do większego zagrożenia, jakim będzie utrata wolności”. Bepe Piotr Libera, zarządzający kurią płocką, upomniał ks. Ferenca. Takie upomnienia można o kant potłuc. Ks. Ferenc już nie pierwszy raz miał takie wystąpienie i nie pierwszy raz został upomniany. Kościół konsekwentnie woli łamać przykazanie o niezabijaniu.

✚ Inflacja, drożyzna i galopujące ceny gazu i energii elektrycznej dotknęły wszystkich – również parafie. Przeor klasztoru dominikanów w Lublinie ojciec Krzysztof Modras zaalarmował lokalną prasę, że rachunki za gaz wzrosły jego zgromadzeniu aż 4-krotnie. A taca w związku z pandemią jest o 30–40 proc. niższa. Ludzie nie chodzą do kościoła na niedzielne msze. No to niech księża dalej nawołują do zaniechania szczepień i do głosowania na PiS.

✚ Marszałkini Sejmu Elżbieta Witek podczas 32. pielgrzymki parlamentarzystów na Jasną Górę zawierzyła parlament Matce Bożej. Zdaje się, że nie pytała wszystkich posłów i senatorów, czy chcą być zawierzeni.

✚ „Nie czuję się hipokrytką. Nie formułowałam nigdy postulatów typu zakaz rozwodów. Nie czuję się hipokrytką także dlatego, że nadal uważam, że małżeństwo i rodzina są ogromnymi wartościami” – oświadczyła portalowi Interia.pl Karolina Pawłowska, prawniczka, która odeszła z Ordo Iuris. Przyznała, że w jej małżeństwie był kryzys, który zaowocował rozejściem się z mężem i żądaniem rozwodu. Oskarżyła także prezesa Ordo Iuris mec. Jerzego Kwaśniewskiego o dolewanie oliwy do medialnego ognia. Z kolei Kwaśniewski udzielił wywiadu „Dziennikowi Gazecie Prawnej”; zapowiedział, że nie będzie komentował tragedii dwóch rodzin byłych współpracowników ze względu na szacunek dla rodzin, dzieci, małżonków, tym samym czyniąc wywiad mało atrakcyjnym. Trwa dyskusja, czy skandal wewnątrz fundamentalistycznej organizacji katolickiej jej zaszkodzi, czy ją wzmocni. Spłynie po nich jak woda po kaczce. Zostanie po staremu. Ale przynajmniej dostarczyli chwilowej rozrywki przeciwnikom…

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl bdf9a50777

WIARA CZYNI CZUBA

1. Republikański gubernator stanu Missouri Mike Parson ma problem z własnym republikańskim zapleczem. Stanowi senatorowie odmówili nawet przesłuchania jego kandydata na szefa departamentu zdrowia Dona Kauerauf a, albowiem uznali go za nie dość konserwatywnego. Wprawdzie jest przeciw obowiązkowym maskom i szczepieniom na COVID-19 oraz – oczywiście – przeciwko aborcji, ale nieopatrznie powiedział gdzieś, że szczepionki jednak są skuteczne i że niski odsetek szczepień w Missouri jest „skandaliczny". Teraz gubernator Parson usiłuje ratować swoją konserwatywną wiarygodność, przekonując, że nigdy „nie nominowałby kogoś, kto nie podziela tych samych chrześcijańskich wartości". To ciekawe wyznanie, zważywszy na to, że pierwsza poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych wprost zabrania władzom „wprowadzania religii".

2. Z kolei w stanie Michigan o republikańską nominację w wyborach na gubernatora ubiega się Garrett Soldano, kręgarz i autor książki „Prawdziwe boże prawo: jak wychowywać dzieci na ludzi sukcesu – przewodnik dla rodziców". Soldano odwiedził ostatnio autorski program covidosceptyczki April Moss, zatytułowany „Głos prawdziwej Ameryki", gdzie opowiedział piękną historię. „Jeden z moich mentorów był adoptowany, zaczął więc szukać swojej biologicznej rodziny. I dowiedział się, że jego mama została zgwałcona w metrze przez pięciu facetów". Wniosek: kultura amerykańska musi zacząć „inspirować" zgwałcone kobiety do „heroizmu": w końcu „Bóg spowodował, że znalazły się w tym miejscu", a ich płód „może być następnym prezydentem!". To dopiero byłby slogan kampanijny: „Głosuj na syna heroicznej ofiary gwałtu i pięciu gangusów".

3. Doski Azad to 23-letnia transseksualna kobieta z irackiego Kurdystanu, która 5 lat temu uciekła od rodziny, żeby móc zacząć żyć w zgodzie ze sobą. Pracowała w salonie kosmetycznym, podróżowała, udało jej się zbudować życie od nowa – do czasu gdy policja z prowincji Dahuk odnalazła jej ciało z ranami postrzałowymi głowy i klatki piersiowej. Najprawdopodobniej sprawcą zabójstwa był jej brat, Chadkar Azad, który zerwał stosunki z odmieńcem, ale teraz go wyśledził, zastrzelił i uciekł do Turcji – o czym policjantów poinformował inny brat Doski. „Otrzymywała wiele gróźb, nie tylko od najbliższych, ale także dalekich krewnych, przekonanych, że jej styl życia jest plamą na honorze rodziny" – mówi z kolei przyjaciel zabitej. Gdy zwróciła się po pomoc do policji, poradzono jej, żeby dla własnego bezpieczeństwa opuściła miasto.

4. Internetowa grupa Milion Mam to organizacja bogobojnych niewiast, które mają „dosyć brudu, którym wiele elementów naszego społeczeństwa, zwłaszcza media rozrywkowe, obrzucają nasze dzieci". Mamy specjalizują się w śledzeniu demoralizacji w bajkach i reklamach telewizyjnych. Ostatnio ich gniew wzbudził fakt, że pedały jedzą tost z masłem orzechowym. Ten skandaliczny obraz znalazł się w reklamie serwisu randkowego eHarmony.com: „Jest to próba normalizacji i gloryfikacji stylu życia LGBTQ poprzez przedstawienie przytulającej się pary homoseksualnej, karmiącej się nawzajem i wycierającej usta drugiej osobie. Promując związki osób tej samej płci, eHarmony.com jasno obwieszcza swoją pozycję w tym kontrowersyjnym temacie, zamiast zachować neutralność w wojnie kulturowej". Skandal.

5. W Hondurasie w ciągu 24 godzin zamordowano 3 osoby LGBT. Jonathan Gabriel Martínez i jego partner César Gustavo Zúñiga zostali zastrzeleni w należącym do Martíneza sklepie w San Pedro Sula. 18-letnia lesbijka María Fernanda Martínez została zamordowana w La Libertad w Comayagua. W jej ciele znaleziono ponad 10 kul, a jej czaszka została strzaskana kamieniem. Przez ostatnie kilkanaście lat co najmniej 405 gejów i lesbijek zostało zamordowanych w Hondurasie w aktach homofobii rozpętanej przez byłego prezydenta kraju Juana Orlando Hernándeza, który zbudował swój polityczny wizerunek na religijnym konserwatyzmie i współpracy z Opus Dei. Uczniowie w szkołach, a także policjanci i żołnierze rozpoczynają dzień od obowiązkowej modlitwy. Całkowity zakaz aborcji i małżeństw osób tej samej płci został wpisany do konstytucji.

6. Międzynarodowy kod IATA przypisany lotnisku w mieście Gaja w indyjskim stanie Bihar brzmi GAY. Gaja to miasto, które sanskrycki epos Ramajana opisuje jako miejsce, gdzie bóg Rama, jego żona Sita i jego brat Lakszmana złożyli hołd królowi Daszaracie. Jest także świętym miastem dżinizmu i buddyzmu – zgodnie z tradycją Budda doznał oświecenia w lokalnej świątyni Mahabodhi. Parlamentarny komitet ds. przedsiębiorstw publicznych orzekł, że wobec powyższych cnót świętego miasta pedalski skrót, pod którym w świecie znane jest jego lotnisko, jest „nieodpowiedni, niestosowny, obraźliwy/zawstydzający" i polecił rządowi podjęcie starań na rzecz jego zmiany. Międzynarodowe Stowarzyszenie Transportu Lotniczego IATA orzekło, że nie ma możliwości zmiany kodu bez „uzasadnionego powodu dotyczącego bezpieczeństwa lotniczego".

7. Ryan Utterback to 29-letni mieszkaniec Missouri, który wsławił się walką o usunięcie ze szkolnych bibliotek w Kansas dwóch adresowanych do młodzieży książek poświęconych problemowi tożsamości płciowej oraz nietolerancji i przemocy wobec osób nieheteronormatywnych. Książki zniknęły z półek na chwilę, po czym wróciły, gdy zaprotestowała młodzież, a Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich wystosowała pismo do dyrektora dystryktu szkolnego. „Rozmowy takie należy prowadzić w domu. Tylko ja naprawdę rozumiem, co jest i nie jest stosowne dla moich dzieci" – ogłosił wówczas Utterback. Obecnie policja twierdzi, że jego rozumienie stosowności obejmowało wsadzenie ręki pod spódnicę 12-latki, obmacywanie 14-latki i pokazywanie pornografii dziecku w wieku lat 4. Ale wszystkie dzieci były dziewczynkami, więc jest OK.

Szatan z Watykanu

Kiedy polskim biskupom pęknie serce?

Staram się wyobrazić sobie następującą sytuację: Kościół katolicki w Polsce, zwany też Kościołem powszechnym, będący częścią największej na świecie wspólnoty wyznaniowej określanej katolicką, z siedzibą w Watykanie i pod zwierzchnictwem formalnym i duchowym papieża, dokonuje oderwania od swojej watykańskiej zwierzchności, tzw. schizmy, i powołuje Polski Kościół katolicki. Ustanawia siedzibę np. w Gnieźnie albo Krakowie, albo nawet w Warszawie i powołuje na zwierzchnika czy to obecnego przewodniczącego Episkopatu Polski, czy dokonuje wyboru nowego. To, co wydaje się utopijne i fantasmagoryczne, wcale nie musi być takie nieprawdopodobne. Już się tak działo w historii chrześcijaństwa. Ale co w takiej sytuacji – puszczając swobodnie myśli – z konkordatem? Będzie obowiązywał? Czy Polska go wypowie? Co z religią w szkołach, której nauczanie jest prostą konsekwencją podpisania przez władze RP międzynarodowej umowy z państwem watykańskim? Wydawać by się to mogło abstrakcyjnym i absurdalnym deliberowaniem, ale może warto zawczasu się zastanowić.

Zapewne konkordat zostałby wypowiedziany, a państwo zawarłoby z ukonstytuowanym nowym Kościołem narodowym oddzielne umowy.

Religia zostałaby w szkołach, jednak pewien okres przejściowy, naznaczony prawnym i organizacyjnym bałaganem, dałby się wszystkim we znaki. A liczba wiernych? Ilu będzie chciało zostać w Kościele rzymskim, a ilu przejdzie do nowego, polskiego, narodowego? A co ze świętością JP2, papieża naszego, ale i rzymskiego, oraz co z tysiącami jego pomników? Zostawić na pamiątkę tego, że przewodził temu Kościołowi, którego nie chcemy?

Dlaczego miałoby dojść do schizmy i oderwania polskiego Kościoła od Kościoła watykańskiego? Oto za sprawą przygotowywanej od miesięcy przez papę Franciszka siurpryzy. Schizma się dokonuje na naszych oczach. Rewolucja pędzi naprzód. Nie zwalnia, ale z dnia na dzień przyspiesza.

Baby na ambony. W Kościele powszechnym, rzymskokatolickim, watykańskim, papieskim, zarządzanym przez papieża Franciszka dyskutowane są i proponowane do wprowadzenia zmiany sposobu sprawowania władzy poprzez:

- dopuszczenie kobiet do święceń diakonatu i prezbiteriatu, czyli do dwóch pierwszych stopni święceń na drodze do pełnego kapłaństwa; prezbiterzy mają prawo do głoszenia kazań, prowadzenia katechizacji, udzielania komunii, także udzielania chrztów i namaszczenia chorych, za zezwoleniem biskupa prezbiter może prowadzić egzorcyzmy; do tej pory te funkcje zarezerwowane były wyłącznie dla mężczyzn; postulaty nie mówią o święceniach dla kobiet, ale dla niemężczyzn, dopuszczając tym samym inną płeć niż męską albo żeńską;
- zniesienie obowiązku celibatu kapłańskiego, czyli zezwolenia na wchodzenie przez księży katolickich i biskupów w związki małżeńskie, zakładanie rodzin i posiadanie dzieci, oraz na wyświęcania osób już posiadających rodziny;
- akceptacja teorii *gender*, czyli uznanie, że pewne cechy osobowości, zachowań, ról społecznych rozumianych do tej pory jako męskie lub kobiece nie są wynikiem różnic biologicznych między kobietami a mężczyznami, ale wynikają z socjalizacji kulturowej;
- uznanie aktów homoseksualnych za dopuszczalne moralnie, a więc w konsekwencji zgoda na uznanie małżeństwa dwóch osób tej samej płci i dalszymi konsekwencjami typu zgoda na adopcję dzieci przez pary jednopłciowe;
- uznanie seksualnej aktywności pozamałżeńskiej za dopuszczalne moralnie, czyli dopuszczenie do wszelkich sakramentów w Kościele osób żyjących w związkach pozasakramentalnych czy osób po rozwodach, a w konsekwencji samych rozwodów.

Teoretycznie więc można sobie wyobrazić, że jakaś młoda atrakcyjna laska, która do tej pory była w szczęśliwym związku małżeńskim i miała dwójkę małych dzieci (niekoniecznie musi być z Ordo Iuris), bierze rozwód z mężem, związuje się z inną kobietą, żyje z nią jak mąż z żoną albo raczej żona z żoną, razem z dziećmi, bo te zostają przy niej, rozpoczyna studia teologiczno-filozoficzne w Wyższym Seminarium Duchownym, kończy je, zostaje wyświęcona na prezbitera i zaczyna pracę w parafii. Wszystko to jest niewyobrażalne z punktu widzenia polskich biskupów, z punktu widzenia głoszonej przez nich od lat nauki społecznej, zasad teologicznych, niezgodne z obwieszczanym i interpretowanym nauczaniem Jana Pawła II. Wszystkiemu temu Jan Paweł II mówił stanowcze: nie, nie, nie. To wszystko jest nie-do-za-ak-cep-to-wa-nia.

Precz z Janem i Pawłem! Na świecie trwa zapoczątkowany przez papieża Franciszka globalny Proces Synodalny. Zakończyć się on ma w 2023 r. – Synodem o Synodalności w Rzymie. Proces ten ma zmienić Kościół, zmienić sposób jego zarządzania. Dyskusje biskupów z udziałem świeckich odbywają się w poszczególnych diecezjach narodowych. Na świecie, także w Polsce. Postulaty, które wymieniłem, zostały sformułowane przez Niemiecką Drogę Synodalną i przedłożone papieżowi. Niezależnie od tego, jakie były ich historyczne inspiracje, jakie powody, czemu miałyby służyć, na co miałyby być remedium, zostały – powtórzę – sformułowane i przedłożone papieżowi.

Co ważne, podobne postulaty pojawiają się nie tylko w Niemczech, ale również w procesach synodalnych odbywanych w Ameryce Łacińskiej, z którą Franciszek jest szczególnie związany.

Oglądanie się na dorobek w tej materii Jana Pawła II czy Benedykta XVI może nie hamować Franciszka. Postaci zarówno Karola Wojtyły, jak i Josepha Ratzingera nie stoją w zbyt jasnym świetle w związku z ukazującymi się raportami o nadużyciach seksualnych w Kościele.

Precz z Benedyktem! W październiku 2019 r. zakończył się tzw. Synod Amazoński. Stanęła na nim kwestia m.in. możliwości wyświęcania na księży żonatych mężczyzn. Franciszek ponoć się bardzo wahał. W poprzek postulatom Synodu Amazońskiego wyszedł Ratzinger, publikując wraz z kardynałem Robertem Sarahem książkę „Z głębi naszych serc" będącą jednoznacznym sprzeciwem zniesienia celibatu w Kościele. Według watykańskich źródeł Franciszek miał być wściekły z powodu książki i nawet żądać wycofania nazwiska Benedykta z okładki.

Jakiś czas później Franciszek dosrał Benedyktowi, de facto zakazując sprawowania mszy w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego, potocznie zwanej mszą trydencką (odprawianej po łacinie, z kapłanem odwróconym przodem do ołtarza, a tyłem do wiernych), której sprawowanie Benedykt usankcjonował specjalnymi przepisami.

W styczniu 2022 r. w Monachium ogłoszono raport dotyczący nadużyć seksualnych Kościele niemieckim, w którym postać Ratzingera została przedstawiona w niezwykle fatalnym świetle – jako tego, który o nadużyciach wiedział, ale wolał milczeć niż cokolwiek zrobić, a nawet tuszował pewne przypadki.

Jeśli Ratzinger tuszował przypadki nadużyć seksualnych, a Wojtyła kolegował się z takimi postaciami jak drapieżnik seksualny i pedofil ks. Marcial Degollado, to Kościół, jaki reprezentują ci dwaj papieże, jest skompromitowany.

Polscy biskupi patrzą na to, co się dzieje, z przerażeniem. Nie komentują. W nadziei, że milczenie ich wyzwoli. Albo że któryś z teologów ze stajni ojca Rydzyka zakrzyczy tę rewolucję.

WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Rys. JANEK KOZA

eprasa.pl bdf9a50777

Aleją gwiazd biegniemy

Ulica, przy której urzęduje polska NASA, najlepiej opisuje tę instytucję – nazywa się Trzy Lipy.

Polska Agencja Kosmiczna każe się nazywać POLSA. Bo to brzmi prawie jak NASA, czyli Narodowa Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej. Tyle że, jak wiadomo z reklam, „prawie” robi wielką różnicę. Naszą Agencję Kosmiczną powołano w 2014 r. za czasów rządów premierki Kopacz, co dowodzi, że pomysł zakładania nowych instytucji państwowych tylko po to, żeby zatrudniać swoich, nie jest autorską koncepcją dobrej zmiany.

POLSA istnieje ponad 7 lat. Założona w 1958 r. NASA w takim czasie zdążyła już wysłać w kosmos kilku astronautów, z czego Johna Glenna w niecałe 4 lata.

Rys. WŁODEK KIERUS

Daj mi dłoń

O POLSĘ nie zabiegali zajmujący się kosmosem naukowcy, ale politycy, i to na dodatek z Gdańska – senator Bogdan Borusewicz i posłanka Agnieszka Pomaska. Zależało im na dwóch rzeczach: zatrudnieniu swoich we władzach i umiejscowieniu siedziby agencji w Gdańsku. Udało im się. W listopadzie 2014 r. na stanowisko prezesa mieszczącej się w Gdańsku Polskiej Agencji Kosmicznej został powołany prof. Marek Banaszkiewicz.

Po roku zmieniła się władza, która potrzebowała kolejnych kilku miesięcy, żeby Banaszkiewicza – mimo ustawowej 5-letniej kadencji – wywalić z powodu **„niezadowolenia z dotychczasowych dokonań POLSY”**. Premierka Szydło odwołała prezesa bardziej z zasady, niż dlatego, że miała kogoś na jego miejsce. Ogłoszono konkurs na następcę, ale nie wyłoniono żadnego kandydata. Konkurs ogłaszano przez kolejne miesiące 4 razy. Kosmiczne jaja z wyborem prezesa POLSY brały się stąd, że resorty obrony i rozwoju walczyły o to, któremu z nich ma przypaść agencja.

Gdy premierem w miejsce Szydło został Mateusz Morawiecki, przerwał tę astralną paranoję i prezesem POLSY mianował dr. Grzegorza Bronę. Po roku Brona podał się do dymisji. Ogłoszono więc kolejny, piąty już konkurs, a p.o. prezesa został człowiek Jadwigi Emilewicz Michał Szaniawski. Szaniawski stanął do konkursu, ale po pierwsze jego kandydatura nie spełniała wymogów formalnych, a po drugie szantażował swojego zastępcę, prof. Marka Moszyńskiego, faworyta w tym samym konkursie. Moszyński sytuację opisał w liście do premiera, czym przekreślił własne szanse.

Piąty konkurs nie wyłonił zwycięzcy. W lipcu 2019 r. ogłoszono więc szósty nabór na prezesa. A potem kolejne. Szaniawski wciąż pełnił obowiązki. Skończył dopiero w grudniu 2020 r., gdy stanowisko prezesa Polskiej Agencji Kosmicznej objął prof. Grzegorz Wrochna. 10 miesięcy później dostał od rządu merytoryczne wzmocnienie w osobie powołanej na przewodniczącą Rady Polskiej Agencji Kosmicznej Olgi Semeniuk – wiceministerki rozwoju i technologii, 33-letniej absolwentki Międzywydziałowych Studiów Wschodniosłowiańskich na Uniwersytecie Warszawskim oraz Wydziału Administracji i Nauk Społecznych na Politechnice Warszawskiej.

Gdzie ulica słońc

Przez te wszystkie lata POLSA zdążyła wydać mniej więcej 90 mln zł. Na co? Choćby na **„eksplorację ciał niebieskich”**. Konkretnie zaś na to, że podpisuje się pod wszystkim, co polskie uczelnie i jednostki badawcze wkładają do najróżniejszych sond kosmicznych. Wkładają zaś głównie czujniki, które wytwarzają dzięki zagranicznym grantom przyznawanym im w ramach międzynarodowych programów badawczych. Dzięki temu POLSA może teraz opowiadać, że eksploruje Słońce, Merkurego, Wenus, Marsa i nawet Ziemię…

W październiku 2017 r. na poligonie w Drawsku odbył się lot testowy rakiety suborbitalnej ILR-33 Bursztyn. Ogłoszono sukces, bo rakieta doleciała na wysokość 15 km. O tym, że do granicy kosmosu zabrakło 85 km, nie wspomniano. W kolejnym locie „Bursztyn” miał osiągnąć pułap 50 km, ale doleciał tylko do 23. kilometra.

Kolejnym kosmicznym osiągnięciem POLSY jest rakieta Candle 2. Rakieta osiągnęła pułap ok. 10 km, czyli doleciała niżej, niż latają samoloty pasażerskie.

Rakieta Bigos 4 wyleciała w Drawsku na pułap 15 km. Teraz pod czujnym okiem POLSY jest przerabiana, bo za rok ma wylecieć na wysokość 150 km.

O kompetencjach POLSY niech świadczy dosłowny cytat z internetowej strony agencji: **„Kolejną, rokującą na przekroczenie umownej granicy kosmosu rakietą jest opracowywany przez Polskie Towarzystwo Rakietowe projekt PTR-1. Niestety rakieta uległa zniszczeniu podczas lotu w 2020 r. Obecnie trwa jej odbudowa”.**

Bóg drogę zna

Do roku 2020 POLSA dostawała z budżetu 10 mln zł rocznie. Jak na agencję kosmiczną kraju chcącego uchodzić za poważny to śmieszne pieniądze. Rok 2020 przyniósł agencji ponad 16 mln zł z budżetu, w zeszłym roku zaś dotknęło ją bogactwo, czyli 27 mln zł. Na podbój kosmosu!

Jeśli jednak na wynagrodzenia poszło z tej kwoty 10 mln zł, to ile zostanie na podbój Marsa? To oczywiście złośliwe pytanie retoryczne, bo agencja nie jest ani od podboju kosmosu, ani czegokolwiek poza dawaniem zarobić swoim. Co przecież nie powinno w rządzonej przez PiS Polsce dziwić.

Polityka ostatnich lat pokazuje, że

pisowska droga do nieba wiedzie nie przez rakiety, sondy kosmiczne czy wahadłowce, ale przez dotacje dla Rydzyka, Caritas, diecezji, a nade wszystko na lekcje religii.

Na które w zeszłym roku tylko Warszawa wydała 2 razy tyle, ile całe państwo polskie na swój kosmiczny listek figowy.

TADEUSZ JASIŃSKI

LISTONOSZ DONIÓSŁ

„Polski Ład z piekła rodem”

W pełni zgadzam się z podstawowymi tezami zawartymi w artykule Roberta Jarugi („NIE” nr 4/2022), ale po dokładnym przestudiowaniu tego tekstu odczuwam jednak spory niedosyt. Faktem bezspornym jest, że to nie Polski Ład zdewastował istniejący w naszym kraju system podatkowy, gdyż już wcześniej, o czym przekonująco pisze autor artykułu, system ten postawiony był na głowie. W tym zakresie zabrakło mi tu jednak kropki nad „i”. Nie wiem, czy celowo, czy przypadkowo red. Jaruga nie pisze, kto i kiedy zdewastował polski system podatkowy, a jest to bez wątpienia sprawa kluczowa. Nie zamierzam tu oczywiście bronić ani PiS-u, ani Polskiego Ładu, gdyż byłaby to z mojej strony skrajna głupota i nieodpowiedzialność, ale z moich osobistych doświadczeń zawodowych wynika, że proces niszczenia prawa podatkowego rozpoczął się już na początku lat 90. XX w. Pamiętam, jak z roku na rok pęczniały segregatory z aktami normatywnymi czy różnego rodzaju poradnikami podatkowymi i gdyby nie cyfryzacja, to niektóre firmy zapewne nie poradziłyby sobie logistycznie z tą radosną twórczością legislacyjną.

Swego czasu, jakieś 20 lat temu, jeden z czołowych polityków (bodajże Włodzimierz Cimoszewicz, ale nie dałbym sobie za to ręki uciąć) zaproponował wprowadzenie zasady, że uchwalony w danym roku przepis prawny musi obowiązywać przynajmniej przez 5 lat, ale machina legislacyjna była już tak rozpędzona, że nikt tego polityka nie posłuchał. Gdyby wtedy wprowadzono taki genialny w swej prostocie mechanizm, to skala patologii związanych z Polskim Ładem byłaby siłą rzeczy znacznie mniejsza. A być może w ogóle nie byłoby wówczas Polskiego Ładu czy nawet PiS-u władzy.

Najgorsze jest jednak to, że nawet odsunięcie PiS-u od władzy nie doprowadzi do jakiego takiego choćby uporządkowana systemu podatkowego. Z artykułu Roberta Jarugi wynika bowiem, że sensowne rozwiązanie tego problemu nie leży w interesie ogromnej rzeszy różnego rodzaju doradców i ekspertów, którzy od kilkudziesięciu lat zbijają kokosy na tworzonych przez parlament idiotyzmach podatkowych. Aby to zmienić, należałoby moim zdaniem zacząć od wprowadzenia w życie wymienionej propozycji Włodzimierza Cimoszewicza.

• • •

Ostatnio zmieniły się zasady logowania na WP.pl i jako starszy już dziadunio lubiący pisać listy do „NIE” mam z tym problem i dlatego przesyłam list ze skrzynki „Onetu”. Zapewniam, że w obydwu przypadkach autor i nadawca listu jest ten sam, mimo że podpis pod listem nie do końca zgadza się z adresem mejlowym. Gdyby stanowiło to dla redakcji problem, to proszę o sygnał, postaram się z tym coś zrobić, zakładając oczywiście, że list mógłby być wydrukowany.

Zenon K.

Od redakcji: Nie ma problemu, Szanowny Panie.

Święczkowski

Jestem młodym prokuratorem, Święczkowski nie zdążył mnie skrzywdzić delegacją na drugi koniec Polski, upomnieniem lub wyrzuceniem z pracy.

Wiem jednak, co to za typ. Razem z Ziobrą tworzyli upiorny duet, niech ich szlag! To, że się ewakuował do Trybunału Konstytucyjnego, nie uchroni tego (…) od kary. Jeśli tylko władza zdoła się zmienić, wierzę, że takie (…) jak Święczkowski zostaną ukarane więzieniem.

Wstyd mi, że pracuję w tej samej instytucji, w której do niedawna byli (bo przecież nie pracowali) ten (…) Święczkowski i drugi (…) Ziobro. Nie zdecydowałem się odejść tylko dlatego, że niedługo władza się zmieni i ktoś takich (…) jak Święczkowski będzie musiał oskarżać.

Piszę to na trzeźwo, a nie jak Kukiz… Głównie po to, żeby odreagować to, co widzę dookoła, w tym takie (…) jak te popełniane przez Święczkowskiego.

Adrian (imię nieprawdziwe)

REKLAMA

eprasa.pl bdf9a50777

Sierp i płot

Rysiowi to robisz, Mariusz!

Pod koniec stycznia minister spraw wewnętrznych i administracji, minister koordynator ds. służb specjalnych, wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości Mariusz Kamiński zeszczał się ze szczęścia, informując na Twitterze, że ruszyła budowa zapory na polsko-białoruskiej granicy.

Celem obrony chrześcijaństwa, polskich kobiet i niemieckiego socjalu ku uciesze Unii Europejskiej straż graniczna przekazała firmom budowlanym teren pod budowę muru, który w niedalekiej przyszłości zatrzyma falę ludności o kolorze skóry odmiennym od świńskiego różu.

Zapora będzie miała 186 km długości – od styku granic polskiej, białoruskiej i litewskiej aż do Bugu. Ma składać się z elementów metalowych oraz betonowych płyt, a na nich zostanie umieszczony drut. Całość będzie kosztować ok. 1,6 mld zł; za budowę odpowiadają firmy Budimex i Unibep.

Dobra wiadomość jest taka, że – jak zgodnie twierdzą eksperci – będący w desperacji imigranci i z taką zaporą sobie poradzą.

Ale budowa muru rozpierdoli Puszczę Białowieską – ostatni naturalny nizinny las w Europie i jeden z najcenniejszych dzikich lasów na świecie. Właśnie rozpoczęły się prace na terenie Rezerwatu Wysokie Bagno koło Białowieży.

Być może rządzący wzięli sobie do serca słowa ks. prof. Tadeusza Guza z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; w prelekcjach wielokrotnie podkreślał, że skrajnie lewicowe prądy filozoficzne dały podstawę do zbudowania pseudoekologicznej ideologii, której dwubiegunowym celem jest animalizacja człowieka oraz humanizacja zwierząt i drzew.

Rys. HENRYK CEBULA

Guz udowodnił też, iż skrajny ekologizm to ateistyczny i nihilistyczny nurt, który wywodzi się z neokomunizmu. I że ta ideologia odrzuca Boga jako stworzyciela świata i człowieka.

Albo zwyczajnie: na budowie zapory da się ukręcić jakieś lody. Chuj wie…

Faktem jest, że budowa na granicy idzie pełną parą. Przez Puszczę Białowieską przejeżdża ciężki sprzęt, w okolicznych wioskach deweloper zajmuje place i działki, na których składuje koparki i materiały budowlane.

Budowa będzie kolidować z sześcioma obszarami „Natura 2000”: mowa nie tylko o Puszczy Białowieskiej, ale też o Ostoi Knyszyńskiej, Ostoi Nadbużańskiej, Ostoi Augustowskiej, Dolinie Biebrzy czy Poleskiej Dolinie Bugu.

Wszystko to dzieje się bez przeprowadzenia oceny oddziaływania na środowisko. Według ustawy o budowie zabezpieczenia granicy państwowej (weszła w życie 4 listopada 2021 r.) tej inwestycji nie obowiązują przepisy prawa budowlanego, wodnego czy ochrony środowiska. Mur na granicy ma powstać za wszelką cenę.

I nieważne, że Puszcza Białowieska posiada status Obiektu Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Rysiom, żubrom, wilkom i innej zwierzynie właśnie pomachano przed nosem środkowym palcem.

Protestują mieszkańcy, protestują naukowcy. Rząd ma ich w dupie.

Jak mówi prof. Bogdan Jaroszewicz, kierownik Białowieskiej Stacji Geobotanicznej Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, skutkiem budowy muru będzie inwazja obcych gatunków roślin. Przyjadą na kołach samochodów i przyjdą na butach robotników. Rozwiewane przez wiatr będą kolonizować kolejne tereny w puszczy.

Żeby uzmysłowić sobie, jakim zagrożeniem są obce gatunki roślin przywleczone do kraju nad Wisłą, wystarczy poczytać o pięknej, acz niebezpiecznej roślinie, jaką jest niecierpek gruczołowaty (albo inaczej nazywany niecierpkiem Roylego). Bujny, o wielkich różowych kwiatach, bogatych w nektar niecierpek skutecznie wabi pszczołowate. Te rzadziej odwiedzają rodzime gatunki roślin i mniej skutecznie je zapylają. Wygląda pięknie i egzotycznie, ale jeśli wyrośnie w okolicy, można się pożegnać z jabłuszkami czy pomidorami z ogródka.

Kolejnym problemem jest to, że powstająca bariera spowoduje fragmentację środowiska i populacji zwierząt, uniemożliwi ich przemieszczanie się, migracje i przepływ genów.

Nie tylko dotknie to wielu gatunków rzadkich i chronionych, szczególnie dużych drapieżników, jak rysia czy wilka, ale i ptaków zasiedlających dziuple: dzięciołów oraz sów. Zagrożone są również unikatowe gatunki chrząszczy i proces rekolonizacji niedźwiedzia.

Istnieją poważne obawy, że zapora może doprowadzić do wyginięcia i tak wątłej białowieskiej populacji rysia.

Niedawno ulubienica prawicy rzeczniczka prasowa straży granicznej Anna Michalska zapowiedziała: **„W przyszłej barierze fizycznej powstaną otwierane bramy umożliwiające migrację większych zwierząt (jak pozwoli na to sytuacja na granicy z Białorusią) oraz zaplanowano małe otwory służące migracji mniejszych zwierząt, np. płazów”.**

I chociaż żartem można by zapytać, czy SG wyposaży żubry w smartfony, żeby mogły zadzwonić na najbliższy posterunek i zapowiedzieć chęć migracji, sprawa jest poważna.

Bo jak zaznacza prof. Rafał Koralczyk z Instytutu Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży, zwierzęta uczą się, jeśli mają możliwość przekraczania barier w postaci ogrodzeń przez jakieś dziury czy bramy. Jeśli będą one zamknięte przez dłuższy czas lub jeśli będą otwierane na krótko i w bardzo nieregularny sposób, spowoduje to dezorientację zwierząt i to, że przestaną z nich korzystać.

Środowisko naukowe wystosowało list do Komisji Europejskiej w sprawie budowy muru na granicy polsko-białoruskiej: **„Jako naukowcy i eksperci zajmujący się ochroną i zarządzaniem zasobami środowiska przyrodniczego apelujemy do Komisji Europejskiej o podjęcie wszelkich możliwych kroków w celu natychmiastowego wstrzymania budowy muru na polsko-białoruskiej granicy do czasu przeprowadzenia zgodnej z prawem UE i wymogami ochrony przyrody oceny oddziaływania tego przedsięwzięcia na spójność sieci »Natura 2000« i takiego zaprojektowania tej inwestycji, aby w jak najmniejszym stopniu wpływała na cenne gatunki i siedliska przyrodnicze”.**

Do tej pory pod apelem podpisało się 1574 naukowców z całego świata.

Teraz ruch Brukseli.

IDALIA DUBICKA

Wściekły naród

Strzeż się tych stworzeń…

Jeśli pojawi się u Ciebie, drogi Czytelniku, narastające uczucie niepokoju, będzie cię bolała głowa i pojawi się gorączka, to wcale nie musi być COVID. Jeśli dojdą do tego drobne zaburzenia świadomości, nadmierne pobudzenie przechodzące w szaleństwo objawiające się tym, że bijesz i kopiesz innych, plujesz i uderzasz głową o ścianę, to niekoniecznie musi to wynikać z tego, żeś się wkurzył, bo rząd znowu wymyślił jakąś reformę. Gdy jednak przy wszystkich poprzednich objawach zaczniesz słyszeć dziwne dźwięki, a odgłos płynącej wody wywoła fizyczny ból, to znaczy, że załapałeś się na najnowszą wrzutkę uczynioną przez PiS Polkom i Polakom – wścieklizną.

Jeśli nie uda ci się skorzystać z innej niż telefoniczna formy kontaktu ze służbą zdrowia, czekają cię niedowład kończyn i paraliż. Po nich zaś dojdzie do zaburzeń oddychania, problemów z połykaniem, po czym zapadniesz w śpiączkę, z której już nigdy się nie obudzisz.

• • •

Zanim PiS objęło władzę, wściekłych zwierząt niemal u nas nie było. W całym roku 2015 odnotowano ledwie 4 przypadki wścieklizny. Dobrej zmianie wystarczyło jednak niecałe 6 lat, aby chorobę rozmnożyć ponad 25-krotnie. W zeszłym roku odnotowano co najmniej 110 przypadków wścieklizny. Choroba niemal w 90 procentach występuje w jednym województwie, tym ponoć najbardziej cywilizowanym – mazowieckim. Trzy czwarte stolicy zostały uznane za objęte wścieklizną. Jak na mający się za cywilizowany, należący do Unii Europejskiej kraj w trzeciej dekadzie XXI wieku to nawet nie wstyd, ale wręcz obciach, pokazujący, że państwo nie działa.

Wbrew pozorom sytuacja w województwie mazowieckim nie musi wskazywać na to, że jest tam najgorzej. Przeciwnie: na Mazowszu są jeszcze służby i instytucje, które gdy znajdą padłe zwierzę, to dostarczą je do badania. Doniesienia z innych województw mówią, że tam tak to nie działa. W związku z tym weterynarze nie zdziwiliby się, gdyby skala wścieklizny w Polsce była nawet 5 razy większa, niż się podaje.

• • •

Walka ze wścieklizną nigdy nie była domeną zainteresowań tej władzy. Jednak przez pierwsze lata rządzenia PiS procedury jakoś działały. Rozrzucano po lasach szczepionki. Zwierzaki je zżerały i się nie wściekały. W przedpandemicznym roku 2019 wściekliznę wykryto 11 razy – u lisa oraz u dziesięciu nietoperzy. W czasie koronawirusowej zarazy dla PiS, poza podatkami i mnożeniem covidowych umieralni, wszystko przestało się liczyć. W inspekcji weterynaryjnej nikt nikogo nie rozliczał ani nie kontrolował. Nie wspominając już o zaopatrywaniu właściwych służb w szczepionki na wściekliznę. Stąd poprzednie 2 lata spowodowały to, co weterynarze po cichu nazywają epidemią wścieklizny.

Rys. HENRYK CEBULA

Państwo w zakresie kontroli weterynaryjnej przestało istnieć. Nie wolno zapominać o drugiej zarazie, którą też olano. W 2019 r. służby odnotowały, że ognisk afrykańskiego pomoru świń (ASF) było 48. W zeszłym roku liczba ta doszła do 124. Polska w wojnie z zakaźnymi chorobami zwierząt wywiesiła białą flagę.

• • •

Nie można jednak z powodu wścieklizny wpadać w panikę. Ludzkość od czasów Ludwika Pasteura ma na to choróbsko szczepionkę. Można ją podawać nie tylko profilaktycznie zwierzakom, ale i ludziom, i to długo po tym, jak pogryzie ich wściekła wiewiórka. Szczepionki były już wtedy, gdy odnotowywaliśmy w Polsce największą liczbę zakażonych wścieklizną zwierząt, czyli w latach 1946–1948. Przypadków wścieklizny żyjącej w lasach zwierzyny było niemal tyle, na ile szacuje się liczebność leśnych ludzi, czyli żołnierzy wyklętych. Jeśli jednak z żołnierzami komuna uporała się w miarę szybko, to ze wścieklizną jej nie szło. Do końca PRL liczba przypadków zakażonych zwierząt oscylowała wokół 2,5 tys.

Dopiero w latach 90. rozpoczęto rozrzucanie szczepionek, co kilka lat później zaowocowało spadkiem liczby wściekłych zwierząt do ledwie kilku sztuk rocznie. Mimo to w ostatnich dwudziestu latach dwie osoby i tak zmarły w Polsce na wściekliznę. Zdaniem lekarzy, którzy na wściekliźnie się znają, wkrótce ludzi z objawami wodowstrętu zacznie przybywać. Od dziesięcioleci nikt u nas nie widział tak wielkiego skupiska zakażeń, jak z ostatnich miesięcy na Mazowszu.

Niepokojący zdaniem lekarzy jest fakt, że nie chorują wyłącznie lisy i nietoperze.

Wśród zarażonych ostatnio zwierząt było 5 psów, 6 kotów, 2 jenoty, kuna i żbik, a nawet dwie sarny, z których jedna rzucała się z zębami na ludzi na warszawskim Wilanowie.

W normalnym państwie każdy taki niedowład służb weterynaryjnych wiązałby się z dymisjami i podjęciem stanowczych działań. U nas nic takiego nie zaobserwowano. Jedyne, co państwo zrobiło, to rozesłało SMS-y. **„Uwaga! Nowe przypadki wścieklizny. Proszę o utrzymywanie zwierząt domowych i gospodarskich w zamknięciu oraz o szczepienie psów i kotów przeciwko wściekliźnie”** – napisało do obywateli Rządowe Centrum Bezpieczeństwa.

• • •

Zamiast się jednak śmiać, że pisowscy antyszczepionkowcy odnotowali sukces, blokując szczepionki nawet przeciw wściekliźnie, lepiej przygotować się na pogryzienie przez jakiegoś wściekłego sierściucha. Żeby tylko pogryzienie… W USA kilka lat temu kilku pacjentom przeszczepiono narządy kobiety, która zginęła w wypadku. Wszyscy biorcy zmarli, u wszystkich zdiagnozowano wściekliznę. Chora była dawczyni. Kobieta potrąciła zwierzę. Chcąc usunąć je z jezdni, gołymi rękami przesunęła zwłoki na pobocze. To wystarczyło, żeby doszło do zakażenia. Warto z tego wyciągnąć wniosek, że rannym zwierzętom pomagać nie wolno.

W kontaktach z miłośnikami zwierząt trzeba uważać. Z samymi zwierzętami zresztą też. Jeśli futrzak użre nas w palec, nogę czy rękę, to mamy tydzień na wizytę u lekarza. Gorzej, gdy bydlę użre okolice twarzy czy szyi. Wtedy wypadałoby pogonić do lekarza jeszcze tego samego dnia.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl bdf9a50777

Mięsień nie tylko dla mięśniaków.

Arytmia

Brązowy medal **Dawida Kubackiego** na normalnej skoczni to miła niespodzianka. Przed rozpoczęciem Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pekinie nie mówiło się wiele o medalach Polaków. Czego wymagają od nich kibice? Żeby zostawiali na arenach serce.

Kiedyś najczęściej mówiło się o cechach wolicjonalnych. Ponieważ słowo jest trudne i nie brzmi po polsku, zastąpiono je **„zostawianiem na arenie serca”.** A właściwie serducha, bo taka odmiana nazwy centralnego narządu układu krwionośnego przebija się ostatnio w mediach.

Już starożytni Egipcjanie twierdzili, że serce jest siedliskiem uczuć, zwłaszcza w sprawach miłosnych. I tak to trwa przez wieki. Zbliżają się walentynki, zatem czerwone serduszko pojawiać się będzie wszędzie. Ale serce jest przede wszystkim narządem, który pompuje krew, i dzięki niemu możemy żyć. W chwili, gdy przestaje bić, człowiek umiera.

Sportowcy, czyli ludzie, którzy powinni charakteryzować się walecznym sercem i zostawiać je na arenie, to serce, które bije po lewej stronie klatki piersiowej, muszą mieć zdrowe. Ich organizmy poddawane są obciążeniom, które szybko wykończyłyby zwykłego śmiertelnika. Trening wzmacnia serce, ale nic chroni go w stu procentach. Przeciwnie – może narażać na choroby.

Serce na kabelkach

Miliony ludzi widziały dramat duńskiego piłkarza **Christiana Eriksena.** 12 czerwca zeszłego roku, podczas meczu fazy grupowej mistrzostw Europy z Finlandią upadł na murawę. Doznał nagłego zatrzymania krążenia, popadł w stan śmierci klinicznej. Reanimacji poddawano go na trawie, a koledzy z drużyny otoczyli go kołem, aby widzowie nie byli świadkami dramatycznej sceny. Z płyty stadionu znoszono go już przytomnego. W szpitalu wszczepiono mu kardiowerter-defibrylator (ICD). Po sześciu dniach pacjent wypisany został do domu.

ICD nie leczy. Elektroniczne urządzenie wielkości pudełka od zapałek wszczepiane pod skórę ma zapobiegać nagłej śmierci sercowej u grup najwyższego ryzyka. Elektroda (lub elektrody) wyczuwają impulsy serca i w razie konieczności ICD jest w stanie uratować je przed zatrzymaniem. To mały komputerek, indywidualnie programowany do potrzeb poszczególnych osób.

Zgodnie z zaleceniami lekarskimi człowiek z wszczepionym ICD może prowadzić w miarę normalny tryb życia, uprawiać amatorsko sport, ale przepisy w poszczególnych krajach zakazują wykonywania niektórych zawodów, np. kierowcy, pilota lub profesjonalnego sportowca. Ten ostatni przepis dotyczy Włoch, a Christian Eriksen był zawodnikiem Interu Mediolan. Powrót na włoskie stadiony stał się więc wykluczony.

Eriksen to nie jakiś zwykły piłkarz. To naprawdę gwiazda światowego formatu. Najpierw występował w barwach Ajaksu Amsterdam, później przez 7 lat z wielkim powodzeniem grał w angielskim klubie Tottenham Hotspur. Rok przed fatalnym meczem w mistrzostwach Europy przeszedł do Interu Mediolan. Dla reprezentacji Danii Eriksen znaczył prawie tyle, ile dla reprezentacji Polski znaczy **Robert Lewandowski.** To on kierował grą drużyny, imponowały jego długie i celne podania.

Eriksen nie musiał już nikomu niczego udowadniać, finansowo też jest zabezpieczony do końca życia. Widocznie należy jednak do tego gatunku ludzi, którzy bez futbolu nie potrafią egzystować. Gdy zgłosił chęć kontynuowania zawodowej kariery, także reprezentacyjnej, wielu ludzi złapało się z przerażenia za głowę. A gdy okazało się, że z Włoch, gdzie ludzie z wszczepionym ICD nie mogą profesjonalnie kopać piłki, wybiera się do angielskiej Premier League, trudno było w to uwierzyć.

Piłkarz z problemami kardiologicznymi podpisał kontrakt z Brentford F.C., jednym ze słabszych klubów najwyższego angielskiego poziomu rozgrywkowego. Eriksen doskonale wie, z czym się to wiąże. Premier League to najbardziej wymagająca liga świata. Tam wszyscy są w ruchu przez 90 minut, gra się ostro i twardo. Takie kluby jak Brentford, które raczej muszą oglądać się za siebie niż spoglądać na szczyt ligowej tabeli, stawiają swoim piłkarzom wyjątkowo twarde warunki. Oczywiście tej klasy pomocnik co Eriksen bardzo się przyda Brentfordowi: uporządkuje grę na środku boiska, ale czy występ w Brentfordzie wyjdzie na zdrowie Eriksenowi?

Serce in italiano

Duńczyk nie jest jedynym sportowcem, który doznał ataku serca podczas meczu piłkarskiego. Lista jest bardzo długa, a finały tragiczne. Niedawno, 3 stycznia, odszedł podczas treningu utalentowany zawodnik gwatemalskiego klubu Deportivo Marquense 25-letni **Marcos Melando.** Zasłabł pod koniec zajęć, szybko przetransportowano go do szpitala, ale nie udało się mu pomóc.

Jak to się dzieje, że problemy, i to poważne problemy kardiologiczne, miewają sportowcy, młodzi zdrowi ludzie, których organizmy są przygotowane na duże obciążenia i którzy są systematycznie badani przez lekarzy? Przecież Christian Eriksen rok przed fatalnym zdarzeniem w meczu z reprezentacją Finlandii zmieniał barwy klubowe. W takiej sytuacji nowy klub, zanim podpisze kontrakt, poddaje zawodnika wyjątkowo szczegółowym badaniom, które potrafią nie tylko wykryć ukryte schorzenia, ale nawet podatność na kontuzje, jakie mogą przydarzyć się w przyszłości. Dodać trzeba, że włoska medycyna sportowa stoi na bardzo wysokim poziomie, jest stawiana za wzór w innych krajach. W jaki sposób przeoczono groźną arytmię komorową u Duńczyka? Dlaczego lista sportowców, którzy zmarli na serce, jest długa? Na te pytania chyba nikt nie potrafi odpowiedzieć.

Serce w peletonie

Bardzo trudno pisać mi o **Joachimie Halupczoku.** Znaliśmy się dobrze, choć się nie kumplowaliśmy. Przegadaliśmy wiele godzin, ale tylko na kolarskie tematy. Byłem jednym z pierwszych dziennikarzy, którzy napisali o niezwykle utalentowanym zawodniku. Trudno było tego talentu nie dostrzec. W peletonie wyglądał tak, jak gdyby wszyscy jechali na rowerach, a on na motocyklu.

W 1987 r. Joachim Halupczok, na którego wszyscy mówiliśmy Achim, jako junior zdobył złote medale mistrzostw Polski na szosie, torze i w wyścigu przełajowym.

Szczytem jego kariery był rok 1989. Nigdy nie zapomnę wyścigu Gran Premio della Liberazione w Rzymie. Na starcie stanęło – nie chcę przesadzić – ponad trzystu kolarzy. Trasa prowadziła ulicami wokół ruin Term Karakalli. Teren płaski, o ucieczce trudno było marzyć. Tymczasem na 2 okrążenia przed metą Halupczok odjechał od peletonu i stale zwiększał przewagę. Zagraniczni dziennikarze pytali o Achima. Nikt go nie znał. Wyścig w Rzymie rozgrywano w maju, a mistrzem świata w Chambéry indywidualnie i wicemistrzem w drużynie został dopiero w sierpniu. Nic dziwnego, że wybrany został najlepszym polskim sportowcem w plebiscycie „Przeglądu Sportowego”.

Zagranicznych kolegów po fachu dziwiło coś jeszcze. Achim nie wyglądał na kolarza. Kolarz musi być szczupły, nie powinien wozić na siodełku zbędnych kilogramów. Ale

nasz mistrz był po prostu chudy, w ogóle nie widać było u niego mięśni. Trenerzy zwracali uwagę na coś jeszcze. Spoczynkowe tętno miał poniżej 40 uderzeń na minutę, co świadczyło o wielkiej wydolności organizmu.

Oczywiście Joachim Halupczok, podobnie jak wszyscy czołowi polscy kolarze, przechodził systematyczne badania lekarskie. Bądźmy jednak szczerzy. Możliwości naszej medycyny sportowej w PRL były ograniczone. Z jednej strony to dobrze, bo nie rozpanoszył się u nas doping tak bardzo jak w niektórych demoludach, gdzie medyków zapędzono do sztucznej hodowli mistrzów, z drugiej strony nie wiem, czy badania kontrolne były wystarczająco szczegółowe.

Logiczną kontynuacją kariery Halupczoka było przejście na zawodowstwo, o czym Achim marzył. Udało mu się to w 1990 r. Trafił do włoskiej drużyny Diana-Colnago. Nie będę się rozwodzić nad jego krótką karierą w zawodowej koszulce. Pojawiły się kłopoty zdrowotne, najpierw związane z przeciążeniem kolana, później wykryto wadę serca. Halupczok wrócił do kraju z zakazem podejmowania jakiegokolwiek wysiłku. Zalecano spacery statecznym krokiem emeryta. Problem w tym, że Achim emerytem nie był. Był wciąż bardzo młodym, tryskającym energią chłopakiem.

W towarzyskim meczu halowej piłki nożnej stanął na bramce, żeby dużo nie biegać. Podczas rozgrzewki przed grą stracił przytomność, zmarł w karetce, która wiozła go do szpitala.

Nie brakowało głosów wiążących śmierć polskiego mistrza ze stosowaniem dopingu, którego było pełno w peletonie na przełomie lat 80. i 90. minionego wieku. Nie wolno bezpodstawnie rzucać takich oskarżeń. Rok przed śmiercią lekarze Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi stwierdzili u pacjenta kilka tysięcy pobudzeń komorowych, przewlekłe zapalenie mięśnia sercowego i zalecili spokojny tryb życia. Być może dziś wszczepiono by mu ICD i żyłby nadal, a nawet amatorsko jeździł na rowerze.

Serce i wiertło

Nie tylko sportowcy mają podczas zawodów poważne kłopoty zdrowotne. Oglądam w telewizji mecze angielskiej Premier League i Championship, czyli niższego poziomu rozgrywkowego. Coraz częściej się zdarza, że spotkanie bywa przerywane, nawet na kwadrans, a w tym czasie obecne na stadionie służby medyczne udzielają pomocy kibicowi, który zasłabł na trybunach. Zastanawiam się, czy dawniej też tak często dochodziło do podobnych zdarzeń, a teraz wszyscy wolą dmuchać na zimne, czy też jest to rzeczywiście nowe zjawisko. Jeśli tak, to zwolennicy teorii spiskowych niewątpliwie połączą zdrowotne kłopoty kibiców z masowymi szczepieniami przeciw koronawirusowi.

Na szczęście pomoc nadchodzi prędko. Po zbyt częstych przypadkach zasłabnięć piłkarzy podczas meczów i treningów na każdym obiekcie znajdować musi się defibrylator, dzięki któremu szybko można przeprowadzić reanimację. Ten przepis – o ile wiem – dotyczy także polskich stadionów.

Za moich juniorskich czasów, gdy trenowałem piłkę ręczną w warszawskiej Spójni, badaniami lekarskimi nikt sobie za bardzo głowy nie zawracał. Był tylko jeden wyjątek, ale był to wyjątek przerażający. Stomatolog sprawdzał stan naszego uzębienia i uzupełniał ubytki w zębach. Proszę sobie wyobrazić, że szybkoobrotowe wiertło nie było jeszcze – przynajmniej w naszym kraju – znane, a znieczulenie dentyści uznawali za zbędną fanaberię. Trzeba było widzieć dzielnych chłopców, którzy bez skrzywienia po każdym meczu przykładali sobie kompresy do bolesnych sińców, ale czmychali spod drzwi, zza których dobiegał chrobot wiertła i jęki kolegów.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Ćwikliński, Waldemar Kuchanny (zastępcy red. nacz.),
Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Łaniewska.
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7°– 17°.
(koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
- połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
- połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 9.02.2022 r.**

eprasa.pl bdf9a50777

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

W środku kanclerz Scholz, po prawej prezydent Macron, a po lewej ja, to znaczy po prawej, bo przecież nigdy nie dałbym się postawić po lewej, ale to telewizja, dlatego wygląda, że po lewej – myślał prezydent Duda, oglądając nagranie konferencji prasowej przywódców Europy, którzy spotkali się w formacie weimarskim.

W formacie weimarskim… – Duda przeżuwał w myślach ekskluzywność tego zwrotu. Jakąś arystokratyczność… Jak festiwal wagnerowski w Bayreuth. Albo: Mozart Festival w Würzburgu.

Przywódcy Europy… – Prezydent Polski czuł smak tych dwóch słów. Był tak słodki, że Duda doznał erekcji. Była niespodziewana, lecz tym bardziej radosna.

Zdjął koszulę, podszedł do lustra i spojrzał na swoje odbicie. Zmarszczyło czoło w stylu Russella Crowe'a, a potem roześmiało się jak Michael Fassbender.

– Lustereczko, powiedz przecie, kto jest najważniejszy na świecie – usłyszał.

Kto to powiedział? – pomyślał. Barwa głosu była ciepła, dźwięczny baryton wskazywał na to, że odezwał się mężczyzna. A przecież w pokoju nie było innych mężczyzn…

– Jest tu kto? – spytał Duda, żeby się upewnić.

– Lustereczko, powiedz przecie, kto jest najważniejszy na świecie.

Prezydent zadrżał. Rzucił okiem na lustro i spostrzegł, że odbicie porusza ustami.

– Wszyscy wiecie, że ja jestem najważniejszy na świecie – usłyszał ten sam baryton, lecz dźwięk nie odpowiadał ruchom ust. Jak źle zrobiony dubbing: audio nie nadążało za wideo.

– Najważniejszym na świecie prezydentem jest Andrzej Duda – powiedział. Przesunięcie dźwięku wobec obrazu znikło.

Przedwczoraj Pekin, wczoraj Berlin, jutro cały świat! – pomyślał z entuzjazmem. Przez moment myślał, że nie myśli tego, tylko mówi, ale nie: wokół panowała cisza.

Do czasu… Nagle jak tornado, jak tsunami, jak tajfun spadł na niego ocean słów: – Debil to nie człowiek, to ideologia, debil powie tak: nie będą nam tutaj w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce i jak mają być prowadzone polskie sprawy, on państwu powie, że on pracuje cały czas, cały czas czegoś się uczy, bez przerwy, on się uczy w mieszkaniu, w samochodzie, jak jedzie, w samolocie, kiedy leci, on się cały czas czegoś uczy, jak się nie uczy tego, co ma powiedzieć, to się uczy tego, co będzie chciał kiedyś powiedzieć, na przykład tekst o wyimaginowanej wspólnocie, z której dla nas, Polaków, niewiele wynika, nie jest zwolennikiem nadmiernego szczepienia się, na grypę się nigdy nie szczepił i nie chce się szczepić, bo przecież są tematy trudne i pan prezydent Macron powiedział, że są tematy trudne, ale – co debila bardzo ucieszyło, bo przecież on też ma świadomość, że są tematy trudne – jak to powiedział kiedyś poeta: „są w ojczyźnie rachunki krzywd", a co powiedział kanclerz Scholz, który stał w środku, a prezydent Macron po prawej, czyli po lewej, on jest najważniejszy na świecie, prezydent Polski, najważniejszy prezydent na świecie, w formacie weimarskim, wagnerowskim i mozartowskim.

Zwierciadło, które wcześniej drżało i wyginało się, wybuchło, rozpadając się na tysiące szklanych okruchów. Jeden wpadł prezydentowi Dudzie w oko i spowodował, że wszystko wokół zamilkło.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

Dialogi dam
w drodze do kościoła

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA uczciła 70. rocznicę wstąpienia Elżbiety II na tron. **GOŚKA DANISZEWSKA** wolałaby leczenie kanałowe zęba.

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Daniszewska: – Jaja se robisz?

Wołk-Łaniewska: – Ani trochę. To jest absolutnie fascynujące. Np. jednym elementem obchodów jest akcja pt. „Zielony baldachim Królowej", w ramach której harcerze i harcerki, organizacje, społeczności i zwykli obywatele zachęcani są do posadzenia drzewa dla królowej, ale musi to być drzewo autochtoniczne, właściwe dla obszaru nasadzenia. Ponadto akcja obejmuje dedykowanie w całej Wielkiej Brytanii 70 obszarów „antycznych lasów", a także wytypowanie siedemdziesięciu „antycznych drzew" dla upamiętnienia 70-lecia koronacji.

– Co to jest „antyczny las"?

– To taki las, który rośnie w tym samym miejscu w Anglii i Walii co najmniej od 1600 r., choć w Szkocji tylko od 1750, ale „nie wszystkie drzewa muszą być stare", jak wyjaśnia Woodland Trust.

– Rzeczywiście fascynujące…

– Poczekaj, nie skończyłam. Jest także „Platynowy konkurs puddingowy", którego celem jest stworzenie doskonałego puddingu – po naszemu deseru – „odpowiedniego dla Królowej" i dobrze by było, żeby przepis miał poruszającą historię, najlepiej, żeby „był inspirowany życiem Jej Królewskiej Mości". Będzie także parada 1400 żołnierzy na dwustu koniach…

– Koniom może być dość ciężko.

– I jeszcze będzie świecone w niebo z 1500 reflektorów, nazwanych „Platynowymi światłami jubileuszowymi". Ale moja ulubiona część obchodów to „Rzeka nadziei", w ramach której dzieci ze szkół podstawowych namalują swoje nadzieje i marzenia dla planety na następne 70 lat, a najbardziej inspirujące inspiracje następnie zostaną wydrukowane na dwustu jedwabnych flagach, które będą niesione przez uczniów szkół średnich w ramach pochodu przez The Mall z Buckingham Palace do Trafalgar Square…

– Je pierdolę, Wołk jest rojalistką…

– Muszę przyznać, że brytyjska monarchia budzi we mnie coś w rodzaju niezdrowej fascynacji. Wiesz, że tak naprawdę to wcielenie brytyjskości, jakim jest dynastia Windsorów, nazywa się Haus Sachsen-Coburg und Gotha i nie ma w sobie kropli brytyjskiej krwi? Szkopy jeden w jednego, tylko zrobili rebranding w 1917 r., bo Niemcy nie byli wtedy zbyt popularni w Wielkiej Brytanii… Ale, cokolwiek by mówić, wiedzą, jak zrobić imprezę. Nie to co u nas: orzeł z czekolady, dwóch smutnych wujów przebranych za Piłsudskiego i Dmowskiego i mordobicie psiarni z naziolami. Wiesz, że ja ją spotkałam?

– Psiarnię?

– Nie, głupia, królową! W 1996 r. podczas wizyty rodziny królewskiej w Polsce byłam w Teatrze Wielkim na przedstawieniu „Córki źle strzeżonej", co skądinąd nie było szczególnie taktownym doborem repertuaru w kontekście rozwodu Karola i Diany. Chociaż niezapomniany Aleksander Małachowski twierdził, że takie nadinterpretacje są zupełnie nietrafne, bo w gruncie rzeczy jest to sztuka peeselowska na temat „Jagieliński żeni syna". Małachowski, hrabia bądź co bądź, znał się na etykiecie.

– No i co z tą królową?

– Stanęłam w jakiejś kolejce, myślałam, że do bufetu, a to się okazało, że to kolejka do bycia przedstawionym królowej.

– I co, zostałaś przedstawiona?

– A jak! Nawet dygnęłam. Monika Płatek byłaby oburzona, ona jest szczególnie uczulona na dygające kobiety. Z tym że byłam tak zaaferowana rozmową z zachwycającym szefem protokołu dyplomatycznego u prezia, że nie zauważyłam, że należy dygnąć także przez księciem Filipem i minęłam go bez słowa. Ale mnie złapano i cofnięto. Dworskie maniery nigdy nie były moją mocną stroną.

– Co ty powiesz?

– Wracając do teraźniejszości: chciałam ci powiedzieć, że jestem głęboko poruszona pryncypialną postawą ministra Kościńskiego, który podał się do dymisji, biorąc polityczną odpowiedzialność za pewne niedociągnięcia Polskiego Ładu.

– Znowu sobie robisz jaja?

– Ale tylko trochę. Wiesz, kiedy ostatni raz ktoś w Polsce podał się do dymisji, przyjmując za coś polityczną odpowiedzialność?

– Nie.

– W roku 2009. Wtedy to Zbigniew Ćwiąkalski zrezygnował ze stanowiska ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, gdy mu w areszcie wyhuśtano kolejnego leszcza do sprawy Olewnika. Choć tak naprawdę zawsze podejrzewałam, że prof. Ćwiąkalski nie potrafił docenić szczęścia w postaci pracy pod światłym kierownictwem Donalda Tuska. W odróżnieniu od ministra Klicha…

– Jak się robi psychiatrę ministrem obrony narodowej, to wdzięczność się należy.

– Niby tak. Ale być może po 10 kwietnia 2010 r., gdy podlegli ministrowi piloci wojskowi rozwalili samolot prezydencki z głową państwa i 95 innymi osobami na pokładzie – to już był czas, żeby wziąć polityczną odpowiedzialność? Zwłaszcza że była to czwarta z rzędu katastrofa wojskowego samolotu za czasów jego ministrowania.

– A tego Ćwiąkalskiego to szkoda, nawiasem mówiąc.

– Bo?

– Jest mężczyzną w moim typie.

– Zdziwię cię, ale w moim chyba też. Może niekoniecznie z urody, ale ma w sobie taką adwokacką pewność siebie, która dodaje mężczyźnie powabu.

– W sprawie adwokatów się zgadzamy. □

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 184

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl bdf9a50777